

DZIEWCZYNA Z OSTROŁĘKI

Lucyna
Wiśniewska-Rutkowska



TOWARZYSTWO
PRZYJACIÓŁ
OSTROŁĘKI



DZIEWCZYNA Z OSTROŁĘKI

Lucyna Wiśniewska-Rutkowska

DZIEWCZYNA Z OSTROŁĘKI



Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęka 2020

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęka, 2020

Redakcja
Jadwiga Nowicka

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne
Tomasz Kalinowski

Korekta
Anna Siudak

Wydawca serdecznie dziękuje Prezydentowi Miasta Ostrołęki
za pomoc finansową w ukazaniu się niniejszej publikacji

190. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

ISBN 978-83-64200-52-6

Nakład: 300 egz.

Druk
Drukarnia J. J. Maciejewscy, Przasnysz

Spis treści

Czesław Parzych	
Słów kilka o <i>Dziewczynie z Ostrołęki</i>	7
Od Autora	9
<i>Rozdział pierwszy</i>	
Ostrołęka, jaką pamiętam	13
<i>Rozdział drugi</i>	
Dom rodzinny — mój Ojciec	29
<i>Rozdział trzeci</i>	
Wyjazd do Warszawy	50
<i>Rozdział czwarty</i>	
Wszystkie drogi prowadzą do Krakowa	62
<i>Rozdział piąty</i>	
Wpół drogi między stolicami	72
<i>Rozdział szósty</i>	
Komuniści i Jasna Góra	84
<i>Rozdział siódmy</i>	
Jeszcze raz Kielce — Janek	94
<i>Rozdział ósmy</i>	
Zrozumieć, jak się rzeczy mają	103
<i>Rozdział dziewiąty</i>	
Z pamiętnika mojej Mamy	113
<i>Epilog</i>	
Powrót do Warszawy — Saska Kępa	136

Słów kilka o *Dziewczynie z Ostrołęki*

Dziewczyna z Ostrołęki to wspomnienia autorki. Przedstawia w nich Ostrołękę lat 60. Ostrołękę pełną dokumentalnej prawdy z tamtego okresu. Ostrołękę pełną wspomnień młodej wówczas ostrołęczanki, mieszkającej ze swą rodziną w najstarszym rejonie miasta — Łęczysku, złączonym z ówczesnym centrum — placem Bema, przyległościami zabudowanymi poza placem — głównie wieloma drewnianymi budynkami. I rzeka Narew, nad którą spędzała wówczas wiele dziewczęcego czasu mieszkając w przyległym do niej rejonie.

Autorka w sposób autentyczny przedstawia dzielnicę Łęczysk z tamtego czasu i trudno będzie dziś uwierzyć młodym ostrołęczanom, że niejako symbolem tej dzielnicy był „wielorodzinny drewniany dom, obok stodoła, gdzie na podwórku młócono ziarno wykorzystując kierat poruszany przez konie”. A był to obszerny dom drewniany, parterowy i gospodarstwo rodziny Późniewskich. Dziś stoi tam wielorodzinny blok mieszkalny. Wspomnienia autorki o Ostrołęce z jej dziewczęcych lat rozbudzą dawne wspomnienia starszych ostrołęczan, zaś młodym pokoleniom — mieszkańcom miasta — ukażą kawał jego historii. Swymi wspomnieniami autorka ogarnia okres nauki w I Liceum Ogólnokształcącym, nauczycieli, którzy do dziś przetrwali w jej życzliwej pamięci.

Wspomina też zwykłą codzienność życia w dzielnicy, w miasteczku i Narew, a także pierwsze dziewczęce porywy serca, które przeminęły wraz z wiosną. Pamięta o domu rodzinnym, ojcu,

matce, braciach, siostrze i swych dziadkach — najstarsi z nich odeszli już na drugi życia brzeg, młodzi i najmłodszy znaleźli swe miejsce w rozległej przestrzeni Polski.

Ciekawie przedstawiona jest droga autorki do awansu społecznego poprzez studia, życie polityczno-gospodarcze tamtych lat, życie studenckie na co dzień z jego niewielkimi radościami i większymi kłopotami.

Wiele jest w tych wspomnieniach również spostrzeżeń z życia towarzyskiego i studenckiego, kiedy autorka studiowała w Warszawie i Krakowie. Wiele też spostrzeżeń społecznych z tamtych trudnych lat, gdy nie było w kraju wolności słowa ani wolności zgromadzeń, jedynie poprawność ideologiczna — warunek konieczny do zachowania pracy. Kiedy to poprzez marksizm, będący tubą ideologiczną partii, starano się wpływać na wszystkie dziedziny życia, od gospodarki po kulturę.

No i oparte na zaufaniu oraz życzliwej wzajemności małżeństwo autorki z Jankiem. Jak w każdym małżeństwie, były nieporozumienia, ale byli szczęśliwi.

Wspomnienia są zwarte, styl piękny, czytane z zaciekawieniem, ukazujące drogę życia i awansu społecznego dziewczyny z Ostrołęki: od czasu ostrołęckiego liceum poprzez studia aż do pracy już jako profesor doktor habilitowany — polonista oraz historyk filozofii.

Czesław Parzych

Od Autora

Dziewczyna z Ostrołęki nie była książką, którą od dawna planowałam. Pomysł pojawił się nagle i został wykonany dość szybko. Wydaje mi się, że tego typu literatura nie wymaga ściśle określonych reguł. Powstaje z wewnętrznej potrzeby i to ona decyduje o jej kształcie. Nie pisałam wcześniej pamiętnika, zatem nie mogłam przywołać zanotowanych faktów i skonfrontować z tym, co aktualnie myślę. Chciałam, w miarę możliwości, wiernie oddać miniony czas. Zawierzałam intuicji, która pomogła mi oddzielić to, co ważne od tego, co iluzoryczne. Podpowiedziała mi również, że autobiografia nie musi być koniecznym pisaniem o sobie, ale o czymś ważniejszym — o miejscowościach, w których mieszkałam, ulicach, po których chodziłam i, oczywiście, ludziach, którzy zawsze są najważniejsi.

Bardzo dziękuję Towarzystwu Przyjaciół Ostrołęki, szczególnie Pani Prezes Jadwidze Nowickiej, za troskę i pomoc przy powstaniu tej książki. Dziękuję również Władzom Miasta Ostrołęki za sfinansowanie jej wydania.

Jankowi

Ostrołęka, jaką pamiętam

Ostrołęka, jaką pamiętam to przede wszystkim miasto z lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. Liczyła wtedy około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Składała się z trzech części: centrum — Plac Bema, Wojciechowic — można powiedzieć dzielnicy robotniczej skupionej wokół Fabryki Celulozy i Papieru oraz Stacji kolejowej, do której z centrum trzeba było dojechać autobusem, co trwało około dwudziestu minut. Ostrołęka była wówczas miastem powiatowym, wyizolowanym, źle skomunikowanym z innymi miejscowościami, dlatego znalezienie pracy stanowiło nie lada wyzwanie. Województwem stała się dopiero po reformie administracyjnej, w połowie lat siedemdziesiątych. Gdybym zacytowała klasyka i powiedziała, że: „były dwa kościoły i gdzieś tam domek” to może nie zabrzmiałoby to dobrze, ale nie rozminęłabym się jakoś wyraźnie z prawdą. Stały kamienice oraz wille, ale w większości były to drewniane, nierzadko walące się chaty. Na początku ulicy Łęczysk gdzie mieszkalam, rzucił się w oczy wielorodzinny, drewniany dom, obok stodoła, a na podwórku młócono ziarno wykorzystując kierat poruszany przez konie. Było swojsko, prawie jak na wsi. Szybko jednak ten budynek i jemu podobne, zniknęły i pojawiły się nowe. Teraz na miejscu dawnej młockarni stoi nowoczesny blok.

Pamiętam, byłam chora i z lękiem oczekiwałam wizyty lekarza, gdy przyszła Mama i oznajmiła, że na ulicy Sienkiewicza kopią fundamenty pod nową szkołę. Byłam tak zaaferowana tym

wydarzeniem, że nawet perspektywa zastrzyków nie wydawała mi się straszna. Miała to być najnowocześniejsza szkoła w Ostrołęce i taka była. Zgodnie z obowiązującą numeracją nazwana została „szóstką”. Parkiet z dębowej klepki robił oszałamiające wrażenie. Wszyscy wiedzieli, że muszą zmieniać buty na kapcie i robili to z pełnym zrozumieniem. Nie przypominam tylko sobie czy pan dyrektor chodził w kapciach, ale chyba nie, bo należało się do niego zwracać „panie magistrze”. W połowie lat sześćdziesiątych uczyło w „szóstce” dwóch magistrów — dyrektor i polonistka. Byli jasno świecącymi gwiazdami w gronie ówczesnych pedagogów i nie należało o tym zapominać. W szkole wszystko było nowe, świeże i piękne. Gdy ktoś, tak jak ja, chodził wcześniej do szkoły numer dwa, gdzie ławki do złudzenia przypominały te opisane przez Żeromskiego w *Szyfowych pracach*, nowymi był po prostu zachwycony. Każde pokolenie ma swoje nowości i udogodnienia. Dla ówczesnych dzieci były to długopisy. Mój pierwszy miał kolor niebieski i trochę się zacinał, lecz mi to nie przeszkadzało. Dobrze pamiętam lekcję historii, gdy nauczyciel wziął ten długopis do ręki i zaczął się nim bawić, a on po prostu się rozleciał. Mój żal był bezgraniczny. Myślałam, że może w zamian dostanę inny, ale nie dostałam. W „szóstce” nauczyłam się grać na mandolinie i na skrzypcach. Miałam chyba dobry słuch, bo szło mi to łatwo i potrafiłam grać z pamięci, ale najwyraźniej nie miałam ochoty tych zainteresowań rozwijać i kontynuować. Niemalże na każdej akademii recytowałam jakiś wiersz. Były to najczęściej teksty Władysława Broniewskiego. Znałam ich wiele i do dziś pamiętam. Kiedyś po akademii podeszła do mnie matka mojej koleżanki i powiedziała: „dziecko ładnie mówiłaś, ale ty nie masz głosu do wierszy rewolucyjnych, zamiast Broniewskiego lepszy byłby dla ciebie na przykład Gałczyński”. Może i tak, ale Gałczyński nie był rewolucjonistą i nie pisał wierszy zaangażowanych w sprawy polityczne, a wtedy tylko takie wybierano na akademie okolicznościowe. O telefonach komórkowych nikt wówczas nawet nie śnił. W Ostrołęce telefony były w ważniej-

szych instytucjach oraz kilka w domach prywatnych. Gdy ktoś chciał zatelefonować szedł na pocztę i zamawiał rozmowę.

Powolny, by nie powiedzieć leniwy rytm życia w mieście wyznaczały dzwony kościelne, które przypominały o mszy świętej, natomiast zapach, co odczuwało się zwłaszcza w letnie popołudnia, był piorunującą mieszanką woni kwitnących w ogródkach forsycji z odorem oparów wydzielanych przez Fabrykę Celulozy i Papieru. Nie było podobno na to rady, mieszkańcy musieli się przyzwyczaić. Dźwięk dzwonów kościelnych początkowo wywoływał we mnie poczucie wzniosłości, później przygnębienie, którego nie umiałam sobie racjonalnie wytłumaczyć. Przygotowując się do pierwszej komunii miałam pewne problemy i to niemające nic wspólnego z interpretacją katechizmu. Nie wiedziałam np. co to jest żal za grzechy. Prosiłam żeby mi Mama wytłumaczyła, ale ona machnęła ręką i na tym się skończyło. Pierwszą komunię świętą traktowałam w sposób śmiertelnie poważny. Podchodziłam do spowiedzi kilka razy, bo ciągle mi się przypominał jakiś grzech. W końcu ksiądz stwierdził, żebym przestała je sobie przypominać, gdyż to co powiedziałam wystarczy.

W Ostrołęce były wówczas cztery szkoły średnie: Liceum Ogólnokształcące, Liceum Pedagogiczne, Technikum Mechaniczno-Elektryczne oraz Technikum Papiernicze. Ja chodziłam do tego pierwszego, natomiast mój starszy brat — Stanisław, do Liceum Pedagogicznego. O tej szkole wiedziałam głównie z relacji brata oraz z rozmów, które prowadził z Mamą. Przysłuchiwałam się nieraz jak razem przygotowują konspekty zajęć. Mama jako doświadczony pedagog, bratu w tym pomagała. To były precyzyjne, merytoryczne programy, w których ustalało się nie tylko zadawane pytania, ale także przewidywało odpowiedzi uczniów. Później, gdy sama pracowałam w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach i czytałam prace zaliczeniowe pełne ogólników i sloganów rozumiałam znaczenie Liceów Pedagogicznych. To były po prostu dobre szkoły, a z pewnością taką była ta ostrołęcka. Liceum Ogólnokształcące było moją szkołą,

w której uczyłam się cztery lata. W tym czasie okrzeplam, wydoroslałam, nabrałam pewności siebie i wiedziałam co chcę dalej robić. Zawsze i wszędzie ważni są ludzie, a w szkole ważni są nauczyciele, którzy oprócz wiedzy powinni mieć osobowość. Takim nauczycielem był polonista — profesor Leopold Szwedowski. Później, studiując polonistykę poznałam wielu znanych, utytułowanych profesorów, lecz żaden nie oddziałał na mnie tak znacząco jak ten ostrołęcki polonista. Wsłuchiwałam się w każde jego słowo i bez zastrzeżeń przyjmowałam, bo nie byłam jeszcze w stanie zdobyć się na sensowną, krytyczną ocenę. Większość uczniów prawdopodobnie w ogóle nie reagowała na jego wywnieszenia, ale niektórym, między innymi mnie, „namącił w głowie”. Używam tego sformułowania w jak najbardziej pozytywnym sensie, gdyż bez takiego „mącenia” nie ma samodzielnego myślenia i rozwoju tylko schematyzm i stagnacja. Szwedowski był znakomitym polonistą. Używał krótkich, precyzyjnych zdań docierając zawsze do istoty rzeczy. Po przedstawieniu problemu sporządzał syntetyczną notatkę. Zaledwie kilka zdań, ale zamieszczał w nich wszystko. Przejęłam od Profesora tę metodę i później, ucząc języka polskiego często ją stosowałam.

Wychowawczynią mojej klasy była rusycystka — profesor Maria Gumkowska. Emanowała ciepłem i życzliwością, co pozytywnie wpływało na klasę. Miała swoje metody nauczania języka rosyjskiego, które polegały na „wkuwaniu” słówek i zwrotów, co okazało się nadspodziewanie skuteczne. Sprawdziłam to kilkanaście lat później przebywając na Białorusi, w Związku Radzieckim. Początkowo mówiłam mało, gdyż bałam się popełniać błędy, lecz z czasem było coraz lepiej, pytano nawet czy jestem „pribaltik”, co znaczyło, że mój rosyjski jest bez zarzutu. Nigdy później nie czułam się tak silnie związana z grupą jak szkoła średniej. Wychowawczynie stosowała zasadę „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. To był jedyny okres w moim życiu, kiedy czułam się częścią grupy, która nie była moją rodziną. Później postawę prospołeczną zastąpiłam „aspołeczną towarzysko-

ścią”¹, co przysparzało mi nieraz sporo problemów. Są ludzie, którzy mają silną potrzebę zanurzenia się w nurt życia społecznego, należał do nich np. mój Ojciec. Bardzo cenię autentyczną pracę społeczną, ale ja takiej potrzeby nie miałam. Gdy to w sobie rozpoznałam stwierdziłam, że nie ma co sztucznie przekraczać pewnych ram. One z pewnością mnie ograniczają, ale też pozwalają czuć się normalnie i mówić własnym głosem.

Maria Gumkowska miała dużo uroku osobistego i mimo, że robiła wrażenie słabej i bezradnej zawsze wyegzekwowała to, co chciała. Dyscyplinę w klasie trzymała żelazną ręką. Nawet nie umiałabym sobie wyobrazić, że można nie przyjść na wieczorek organizowany przez klasę. Jakież było moje zdziwienie, gdy na dyskotekę inaugurującą pierwszy rok studiów w warszawskim klubie „Ubab” przyszła tylko połowa grupy. Poczułam się wówczas bardziej wolna, ale mniej bezpieczna. Było jeszcze dwóch nauczycieli, których doskonale pamiętam — łacinnik, nazywany Quintusem oraz historyczka — Irena Bierońska. Gdy nadchodził 4 grudzień tj. imieniny Barbary (w klasie były dwie Basie) łacinnik mówił, że jest „barbar”, czyli barbarzyńiec i także ma imieniny. W istocie był przeciwieństwem „barbara”. Miał w sobie coś z greckiego mędrca i rzymskiego wojownika. Potrafił być ironiczny i prześmiewczy, lecz w gruncie rzeczy miał dużo dobrego serca. Uczniowie go lubili, chociaż nigdy między sobą i nimi nie skracał dystansu. Na uroczystościach, zwłaszcza, gdy towarzyszyła im zabawa i tańce, siedział z boku i przyglądał się. Zapytałam go kiedyś, dlaczego nie tańczy? — zawinął wówczas rękaw koszuli i pokazał wytatuowany w Oświęcimiu numer. Zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie i doskonale tę sytuację zapamiętałam. Quintus i Pani Bierońska tworzyli ostry kontrast. On wysoki, szczupły, ona nie niska, ale też nie szczupła. Łacinnik był jednym z nielicznych, którzy mogli sobie pozwolić pod adresem byłej Pani dyrektor na złośliwości. A ona potrafiła dostarczać sy-

¹ Jest to określenie I. Kanta.

tuacji, które irytowały. Była apodyktyczna, nieraz sarkastyczna, ale historię traktowała poważnie, z pasją, którą chciała zarazić innych. Ja lubiłam ten przedmiot i Pani Bierońska mnie nie przerażała, lecz dla niektórych była postrachem. Tak się złożyło, że w późniejszej pracy historia, zwłaszcza historia Polski, była mi bardzo potrzebna. W dużym stopniu bazowałam na tym, czego nauczyłam się w szkole średniej. Byłam i jestem za to Pani profesor Bierońskiej wdzięczna.

Ostrołęka, jaką pamiętam to przede wszystkim szkoła podstawowa i średnia, ale także kamienica na ulicy Łęczysk, gdzie mieszkałam, rzeka Narew, nad którą spędzałam niemalże każde wakacje, zwykła codzienność, której rytm wyznaczały powtarzające się sytuacje. We wtorek i piątek szło się na tzw. „rynek”, czyli targ, w niedzielę obowiązkowo do Kościoła, od czasu do czasu „przebiegało się” — jak to nazywałam — ulice Ostrołęki, głównie „mały rynek”, Plac Bema i Kościuszki. Nieraz zachodziłam do cukierni „u Leszczyńskiego”, gdzie były doskonale ciastka i lody. Nie chodziłam jeszcze wówczas do kawiarni, zresztą w Ostrołęce prawie ich nie było. Znajdowała się jedna „Na Skarpie”, do której chodziła młodzież licealna, ale jednocześnie wpadał tam nauczyciel, który później nagłaśniał w szkole: kto, z kim, gdzie i co robił. Miał ksywę „Gebels”. Zawsze ktoś stał na straży i na hasło „Gebels” wszystko wracało do należytego porządku. Znikał alkohol, papierosy i wszystkie niewłaściwe słowa. Używano tylko pięknej polszczyzny.

Niektórzy twierdzą, że ich pierwsze „miłości” pojawiły się już w przedszkolu. Ja niczego takiego nie doświadczyłam. Nie przypominam sobie również tego typu przeżyć ze szkoły podstawowej, dopiero z liceum. Obiektem mojego zauroczenia był Jarek, uczeń klasy maturalnej naszego liceum, ode mnie chyba dwa lata starszy. Mieszkał razem z matką w domku jednorodzinnym niedaleko parku, jego ojciec przedwcześnie zmarł. Matka przebywała zazwyczaj na parterze, on na poddaszu. Nigdy nie przechodziła na górę, dlatego nie miałam okazji jej poznać, nawet nie

wiedziałam jak wygląda. Musiała być kobietą wyjątkowo tolerancyjną, gdyż nic jej nie przeszkadzało — głośna muzyka, także rozmowy i ciągle wychodzący bądź przychodzący znajomi syna. Jarek był blondynem o regularnych rysach twarzy, szczupły, ode mnie zdecydowanie wyższy. Był bardzo żywiołowy, bez przerwy coś mówił i gdzieś pędził. Z jego opowiadań wiedziałam, że miał wcześniej dziewczynę, córkę dyrektora nowo otwartego szpitala na ulicy Sienkiewicza, lecz, zapewniał, że to już przeszłość. Mówił, że spotykali się na cmentarzu koło grobu „na kulach”. Używał takiej nazwy, gdyż obramowanie grobu stanowiły łańcuchy umocowane na czterech kulach. Wydawało mi się to niesamowite, nietuzinkowe, po prostu fascynujące. Pamięć jest w trudny do wytłumaczenia sposób selektywna. Nie pamiętam dokładnie jego twarzy, barwy głosu, ale pamiętam jesionkę. Była w kolorze piaskowym i miała charakterystyczny zapach mokrego materiału. To była zimowo-wiosenna znajomość, która skończyła się z nadejściem lata. Nabierała znaczenia wraz ze zbliżającą się wiosną, która w tym roku była wyjątkowo deszczowa, stąd zapewne taki zapach jesionki. Przedwiośnia są do siebie podobne, dlatego na ogół ich nie pamiętamy, lecz ja tę końcówkę zimy wciąż mam w pamięci — płynące kry po Narwi, jaskrawe słońce, resztki topniejącego śniegu, pierwsze pąki na gołych jeszcze drzewach, no i emocje, o których się nawet filozofom nie śniło.

Na poddasze, gdzie mieszkał Jarek przychodziło wielu jego znajomych, ale z perspektywy czasu niewiele potrafiłabym o nich powiedzieć. Pamiętam jedynie krzykliwą dziewczynę i jej chłopaka, który palił dużo papierosów. Byli ode mnie starsi, więc czułam się przy nich trochę jak smarkata. Oni zresztą tę niewielką, w gruncie rzeczy, różnicę wieku chętnie podkreślali nazywając mnie „małolatą”. Przygotowywali się do matury i prosili mnie, żebym pisała wypracowania-ściagi, co robiłam z przyjemnością. Tamten czas kojarzy mi się przede wszystkim z piosenkami „Czerwonych Gitar”, odtwarzanymi do znudzenia na niezbyt sprawnym adapterze Bambino. To był maj, kwitły kasztany i pachniała

cała Ostrołęka. Nawet trudne do zniesienia wyziewy z Fabryki Celulozy i Papieru nie były w stanie tego faktu zmienić. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zaczęło się świętowanie. Niewielki pokój na poddaszu szybko okazał się zbyt ciasny, dlatego przenieśliśmy się do pobliskiego parku. Zabawa trwała do późnych godzin wieczornych, a może i rannych. Moi rodzice przebywali na parterze, natomiast my, tzn. dzieci, na pierwszym piętrze. Gdyby wiedzieli, o której wróciłam nie obeszłoby się bez tzw. „kazania”, ale udało mi się bezszelestnie przemknąć po schodach i wszystko było normalnie. Dzisiaj, gdy w pamięci przywołuję tamte wydarzenia niejako automatycznie powtarzam — szkoda, że *to se ne vrati*.

Dom na Łęczysku, w którym mieszkalam to kamienica wybudowana tuż przed wojną przez dziadków. Był to duży, piętrowy budynek, w którym oprócz rodziców mojej Mamy i nas, czyli moich rodziców i trójki rodzeństwa, mieszkało również kilkunastu lokatorów. Gdyby babcia mogła wybierać lokatorów najprawdopodobniej byłiby inni, lecz ona, mimo, że ogromnym wysiłkiem wybudowała ten dom, niewiele w kwestii wynajmowania mieszkań miała do powiedzenia. Najemcy pojawiali się niespodziewanie z nakazem z tzw. „kwaterunku” i oświadczali, że będą mieszkać, a właściciel budynku mógł tylko wyrazić zgodę. To były „zdobycze” nowego ustroju, w którym tak właśnie realizowano socjalistyczną zasadę równości. Dziadek Kukliński przed wojną pracował jako urzędnik, przez jakiś czas pełnił również funkcję sekretarzem gminy Nakły. Był człowiekiem wielkiej uczciwości, lecz niezbyt praktycznym i najprawdopodobniej ten dom nigdy by nie powstał gdyby nie babcia. Odkładała z pensji męża część pieniędzy, a gdy uzbierała sporą sumę, wyrzuciła wszystkie na stół i oświadczyła: „Czesiek, budujemy dom”. Wyobrażam sobie jego zdumienie. W tej sytuacji mógł tylko odpowiedzieć: „Tak Oła, budujemy”. Kosztowało ich to dużo pieniędzy, wysiłku i samozaparcia. Gdy dom był gotowy, a babcia oddała Żydom ostatnie pożyczone dolary (z jej opowiadań

pamiętam, że kosztowały cztery złote) wybuchła wojna. Dom był, można powiedzieć, „jak spod igły” — duże podwórko i piękny ogród — nic dziwnego, że spodobał się Niemcom. Zamieszkał w nim niemiecki sędzia z rodziną. Babcia uprosiła go, by za pranie, prasowanie i sprzątanie pozwolił jej zostać. Mogła w ten sposób pilnować swojej kamienicy, jeżeli w ogóle, w tych warunkach było to możliwe. Jesień początku wojny była podobno wyjątkowo piękna. W ogródku czerwieniły się malinowe pomidory, które babcia mogła zerwać i zanieść żonie sędziego, dla niej były niedostępne. Kamienica przetrwała czas wojny nienaruszona, lecz okaleczona. Pozostały w niej ślady pocisków, także duża wyrwa, prawdopodobnie po bombie. Moi rodzice, tuż po wojnie przez pewien czas pracowali jako nauczyciele w kurpiowskiej wsi Grале. Tam spędziłam pierwsze lata swojego życia. Gdy zdecydowaliśmy się wrócić do Ostrołęki, mimo, że w jakimś sensie byliśmy właścicielami kamienicy, nie mieliśmy gdzie mieszkać. Wszystkie pomieszczenia wypełnione były lokatorami, którzy na ogół nie traktowali je jako przejściowe, lecz docelowe. Właściciele kamienic jak wszyscy inni właściciele byli wówczas źle widziani, a upominanie się o swoje przypominało przysłowiową „orkę na ugorze”. W końcu po długich staraniach udało nam się przeprowadzić do Ostrołęki i zamieszkać w niewielkim pokoju z kuchnią. Aż trudno uwierzyć, gdyż byliśmy sześćcioosobową rodziną. Najstarszy brat spał właściwie pod stołem, tzn. na kozetce, ale zastawionej stołem tak, że widać mu było tylko głowę. Obok w podobnym pomieszczeniu mieszkali, żyjąc w konkubinacie, wysoka, dobrze zbudowana pani Zofia oraz niski i raczej szczupły pan Piotr. Ich oczkiem w głowie był wielki, kudłaty pies Bary. Dzielił się z nimi wspólny przedpokój. Zastanawiać może, że w mieście, gdzie wbrew pozorom nie rządziła partia, lecz Kościół i nie było nic ważniejszego od zasad moralnych gwarantowanych autorytetem boskim, konkubinat moich sąsiadów nie robił większego wrażenia, nie był nawet tematem plotek. Uznano, że jeżeli tak jest to widocznie tak musi być. Także moja babcia przeszła nad

tym do porządku dziennego. Skomentowała jedynie sytuację, która powstała po śmierci pana Piotra, gdy pochowany został na cmentarzu w wynajętej kwaterze. Powiedziała wówczas: „całe życie na komornym i jeszcze po śmierci, czy to nie za dużo?”

Po pewnym czasie wyprowadził się jeden z lokatorów i zajęliśmy pokój na piętrze. Było dobrze, przede wszystkim swobodnie, gdyż rodzice zostali na parterze i niezbyt często tam przychodzili. Najbardziej zadowolony z tej sytuacji był najstarszy brat — Stanisław, gdyż przychodził o której chciał, a my musieliśmy milczeć, bo tak nam nakazał. W całym domu były piece kaflowe, dopiero później założyliśmy centralne ogrzewanie. Z piecem zawsze był spory kłopot. Trzeba było nosić drzewo i węgiel, lecz można bez przesady powiedzieć, że stanowił „wartość samą w sobie” i nie da się go w żaden sposób porównać z później założonymi kaloryferami. Rozpalony piec tworzył centrum życia rodzinnego i skupiał wszystkich, choć ze względu na gabaryty i sposób ustawienia siedzieć lub stać przy nim mogła tylko jedna osoba.

Przez ścianę sąsiadowaliśmy z młodą (miała około trzydziestu lat), atrakcyjną kobietą, która zajmowała duży, ładny pokój z balkonem. Pracowała w „Ruchu”, nie w kiosku, lecz w biurze nadzorującym kioski. Prowadziła ożywione życie towarzyskie, co było przez sąsiadów tolerowane, ale do czasu, kiedy przypro-wadziła Murzyna. Wywołała tym istne *tsunami*. Nawet najbardziej powściągliwi sąsiedzi, do których należała moja Mama, nie byli w stanie tego zaakceptować. Babcia natomiast orzekła, że Pani Rutkowska (tak się nazywała) wszczyna awantury, nie płaci czynszu, zatem najlepiej byłoby gdyby się wyprowadziła, czego oczywiście nie zrobiła. Na mnie to chyba też wpłynęło niezbyt korzystnie, bo, gdy tuż przed moim ślubem brat zapytał, jakie będę miała teraz nazwisko? (mój mąż nazywał się Rutkowski), przez pewien czas wahałam się czy mu powiedzieć.

W żadnej dziedzinie życia postęp nie jest tak widoczny jak w technice. Dzisiaj pralka „Frania” jest obiektem muzealnym, wtedy stanowiła szczyt techniki i przedmiot pożądania każdej

gospodyni domowej. Była wielkim udogodnieniem, gdyż uwalniała od wymagającego dobrej kondycji fizycznej prania na tarze. Istniał jeszcze w tym czasie zawód praczki. Wykonywała go Pani Saluszevska, lokatorka mieszkająca na parterze. W letnie dni całe podwórko zawieszane było koszulami, skarpetkami oraz innymi rzeczami. Taką ilość ubrań trudno było wyprać, lecz jeszcze trudniej wyprasować. Pamiętam ją jako starszą, postawną kobietę, która upinała w kucyk swoje siwe włosy. Mieszkała sama, od czasu do czasu, głównie w wakacje, przyjeżdżały do niej młode dziewczyny z Wrocławia, chyba siostrzenice. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek narzekała na zdrowie, czy przemęczenie. Była nieprawdopodobnie silna i żywotna, miałam wrażenie, że energii jej wyłącznie przybywa. W sąsiedztwie pani Saluszevskiej mieszkała krawcowa z mężem i dwójką dzieci — Tereską i Krzysiem. Mąż pracował w Fabryce Celulozy i Papieru, ona natomiast wychowywała dzieci i dorabiała szyciem. Była dobrą krawcową, dlatego przychodziły do niej kobiety z całej Ostrołki. Przemiarka to sytuacja towarzyska, która sprzyja bardziej lub mniej poufnemu przekazywaniu informacji. Najbardziej cenne są te, które mają w sobie coś niezwykłego lub niedozwolonego. Pani Nowacka, tak brzmiało jej nazwisko, była skarbnicą takich wiadomości. Doskonale wiedziała kto ma jakie kłopoty i słabości — sukcesy raczej nie karmiła plotek. Wiedziała również jak powinny wyglądać prawidłowe relacje między ludźmi, chociaż sama ich sobie ułożyć nie potrafiła. Jej życie to wieczne kłótnie i wojenki o nic. Przyczyną jej nieszczęścia był mąż, w gruncie rzeczy sympatyczny i jak to się mówi, „pocziwy” człowiek, który nie mogąc znieść wiecznych pretensji żony topił smutki w alkoholu. Gdy doszło do sprawy rozwodowej proszono moją Mamę na świadka. Zdecydowanie odmówiła, nie chcąc być w tym konflikcie stroną. Zapytałam ją jak ocenia tę sytuację i kto według niej bardziej przyczynił się do rozkładu małżeństwa — wyraźnie nie chciała na ten temat mówić, machnęła tylko w charakterystyczny sposób ręką i powiedziała — przecież nie on. Kłopoty w małżeń-

stwie sąsiadów nas tj. dzieci raczej nie interesowały, chyba, że zachowywali się bardzo głośno, natomiast zainteresowani byliśmy telewizorem. Tylko państwo Nowaccy w całej kamienicy mieli ten cud techniki i byli na tyle uprzejmi, że mogliśmy oglądać programy właściwie bez ograniczeń. Moja siostra — Ania lubiła programy dla dzieci, przychodziła je oglądać z samego rana i dziwiła się, że „oni tak długo śpią”. Wszyscy wspólnie, gospodarze i sąsiedzi, oglądali czwartkowy teatr sensacji — kobra. Jakość obrazu telewizyjnego była słaba, wspomaganie stabilizatorem też niewiele pomagało. Przeżycia były jednak tak silne, że wszelkiego rodzaju mankamenty techniczne nie miały większego znaczenia. W naszym domu telewizor pojawił się później. Ojciec obronił wówczas w Krakowie pracę magisterską, przez co wzrosły jego zarobki. Nie od razu dostał wyrównanie. Zwlekano z wypłatą dość długo, przez co suma skumulowała się na tyle, że można było kupić telewizor. To była „Tosca”, zjawiskowy mebel, od którego nie odstępowaliśmy na krok. To były początki telewizji polskiej, które bez przesady, można nazwać jej złotym wiekiem. Emitowano programy na najwyższym poziomie: Kabaret starszych panów, „Stawka większa niż życie”. „Wojna domowa”. Szczególnie zapadły mi w pamięć doskonale wyreżyserowane i wspaniale aktorsko obsadzone poniedziałkowe teatry. Jeszcze dzisiaj wyszukuję je w internecie i oglądam z dużą przyjemnością.

W kamienicy były dwa psy i prawdopodobnie kilka kotów, z których zapamiętałam przede wszystkim dwa. Funkcjonowały nie obok siebie, lecz po sobie, gdy jeden z jakichś powodów zniknął pojawiał się następny. Pies pani Zofii — Bary był wielkim, kudłatym zwierzęciem. Przypominał trochę lwa — gdy się pojawiał siał strach i grozę, lecz w gruncie rzeczy był przyjazny i delikatny. Kładł się w przedpokoju zajmując całą przestrzeń. Trzeba było uważnie przechodzić, by go nie nadepnąć. Nie wiem jaka to była rasa, wiem natomiast, że zastąpił go bokser — silny, ruchliwy, z przenikliwym spojrzeniem, do którego jednak nie umiałam się przekonać i omijałam go z daleka. Czarnego kota może

bym nawet nie pamiętała, gdyby nie mój najmłodszy brat — Andrzej. Panicznie się go bał. Gdy słyszałam krzyk wiedziałam, że najprawdopodobniej pojawił się czarny kot. Próbowałam jakoś brata z tym zwierzątkiem oswoić, a było rzeczywiście ładne — majestatyczne ruchy, idealnie czarna sierść i zielone, fosforyzujące oczy. Nic jednak nie pomagało — kot wywoływał krzyk, to był odruch bezwarunkowy. Następcą czarnego kota był kot rudy. Nic w nim szczególnego nie było, chyba tylko to, że był długowieczny, ciągle był.

Moje dzieciństwo i pierwsze lata wchodzenia w tzw. dorosłość związane były z ogrodem. Każdy ogród ma w sobie coś bajecznego, lecz mój szczególnie, a może tak mi się wydawało? Grusze, jabłonie, krzewy malin, porzeczek i agrestu, wszystko, gdy przyszła wiosna kwitło, a latem i jesienią dawało owoce. Były również pszczoły i autentyczny miód. Na końcu ogrodu rósł rozłożysty orzech. Był pięknym drzewem, ale dawał niewiele owoców. Stał tuż przy płocie odgradzającym nas od sąsiadów. Gdy przeszłam przez dziurę w płocie i przemknęłam przez podwórko sąsiadów byłam niemalże przy wejściu do „szóстки” — tak skracalam sobie drogę do szkoły. Właściciele posesji najwyraźniej to tolerowali, gdyż nikt mi nigdy nie zwrócił uwagi, nie doniósł również moim rodzicom.

Dwie sąsiadki z parteru ciągle czymś handlowały. W dni targowe widziałam je na bazarze z naręczem sweterków, bluzek oraz innych rzeczy. Mój ojciec przyglądał się tym praktykom z dystansem zaliczając handlowanie starymi ubraniami do wartości niższych, niedorównujących np. numizmatyce, którą się zajmował. Swoje hobby, czyli zbieranie starych pieniędzy, sytuował w rzędzie wartości wysokich, w jakimś sensie, wyróżnionych. Jakkolwiek się na to patrzyło i oceniało bazar stanowił w tym czasie ważny element życia miasta. Usytuowany w samym środku, zmieniał się w dni targowe w centrum życia towarzyskiego. Tutaj można było spotkać znajomych, porozmawiać, zaprezentować najnowsze stroje i oczywiście zrobić zakupy. Pamiętam, że wszystko było świeże

i pachnące: masło zawinięte w chrzanowe liście, śmietana, kurczaki. Zrobiony z nich niedzielny rosół pachniał na całą kamienicę. Gdy niedawno kupiłam na kieleckim bazarze kurczaka, który okazał się starą kurą, pomyślałam sobie, że w Ostrołęce nigdy by mi czegoś takiego nie sprzedano.

Kamienica, w której mieszkaliśmy usytuowana była blisko Narwi, która w połowie lat pięćdziesiątych systematycznie wylewała. Ulica Łęczysk, gdzie stał nasz dom, zamieniała się wtedy w rwący potok, który można było przepłynąć łódką albo kajakiem. Pływanie kajakiem po ulicy było bezpieczne, zagrożenie pojawiało się dalej, w pobliżu rzeki, gdzie zdarzało się, że występowały wiry. Tam właśnie Tata zabrał mnie na przejażdżkę kajakiem. Mam to utrwalone na zdjęciu. Kilkulatka (chodziłam wówczas do przedszkola) w angorowej czapeczce trzyma się kurczowo marynarki Ojca. Bez kapoka, koła ratunkowego i jakiegokolwiek zabezpieczenia, bo skąd je wziąć (poza tym nikomu nie przyszło do głowy, że może być potrzebne). Okazało się zbędne, lecz nie było bezpiecznie, a mogło być tragicznie. Ja tej sytuacji dokładnie nie pamiętam, ale chyba zagrożenia nie czułam. Wiedziałam tylko, że coś jest nie tak, gdyż Tata był zdenerwowany i bardzo szybko wiosłował. Później wielokrotnie o tym opowiadał, a Mama za każdym razem wpadała w złość krzycząc, że nie może tego słuchać.

Nie potrafiłabym wyobrazić sobie Ostrołęki bez Narwi. To miasto i ta rzeka są dla mnie zespolone. Ilekroć zbliżam się do ostrołęckiej Narwi zawsze towarzyszą mi fantastyczne obrazy i niepowtarzalne przeżycia, serce bije mocniej, bo czuję, że wracam do siebie, do swojego matecznika. W szkole nauczyłam się wierszyka, który nieraz później często powtarzałam:

„Nad błękitną moją Narwią,
Najpiękniej się kwiatki barwią”.

Kwiatki rzeczywiście „barwiły się”, lecz Narew nie była błękitna. Ja dorastałam, a rzeka stawiała się coraz bardziej zanie-

czyszczona. Były jednak miejsca z czystą wodą i piaszczystym brzegiem, gdzie chodziłam z młodszym rodzeństwem opalać się i kąpać. Dla starszego brata nie byliśmy wtedy godnym uwagi towarzystwem. Miał swoje wydeptane ścieżki, imprezy oraz kolegów, o czym trochę wiedzieliśmy, ale trzymał nas krótko powtarzając — tylko spróbujcie coś pisać rodzicom.

Szybko wszyscy nauczyli się pływać. Czuliśmy się „jak ryby w wodzie”, rzeka była naszym żywiołem, mogliśmy z niej nie wychodzić. Później mój mąż, wiedząc czym była dla mnie Narew, nazywał mnie przewrotnie „narwianką”. Najchętniej chodziliśmy na tzw. „babską plażę”, gdzie Omulew wpływa do Narwi. Miejsce nie należało do najbezpieczniejszych, gdyż rzeki łącząc się ze sobą wytwarzały wiry. Od czasu do czasu zdarzały się utonięcia, lecz w granicach wytyczonych bojami nic nam nie groziło. Przychodziliśmy wczesnym przedpołudniem, wracaliśmy wieczorem. Braliśmy ze sobą odpowiednią ilość kanapek oraz napojów i to nam wystarczało. Odcinek drogi między naszym domem a plażą nie był długi. Należało przejść przez wąską uliczkę, gdzie na ziemi zawsze leżały jakieś spady — jabłka, gruszki, śliwki. Były świeże i dobre, więc zbieraliśmy je jako uzupełnienie prowiantu. Idąc prosto wychodziliśmy na polanę z jeziorkiem, które zarosnięte trawą i krzewami było prawie niewidoczne, a o jego istnieniu przypominał wieczorem głośny rechot żab. Ujawniało się w całej pełni jesienią, gdy nadchodził czas kiszenia ogórków. Polana zastawiona była wówczas beczkami wypełnionymi ogórkami, które umieszczano na dnie jeziorka. Pachniało porożrzucanym wokoło koprem oraz miętą, której rosło tam mnóstwo. Zimna woda zastępowała chłodnię, a ogórki smakowały wybornie. W pobliżu jeziorka swoją drewnianą „budkę” miał pan Strzałkowski, obok wisiały sieci i stały przycumowane do brzegu łódki. O kąpieli w tym miejscu nie było mowy, dlatego szliśmy dalej. Po drodze należało ominąć olbrzymie głazy — pozostałość po niemieckich bunkrach i dochodziliśmy do celu. Nasza plaża to kilka starych drzew, krzewy, żółty piasek i oczywiście woda, czyli

wszystko to, co pozwalało nam czuć się znakomicie i mieć fantastyczne wakacje. Dzisiaj, gdy mogę spędzać urlop za granicą i kąpać się w renomowanych ośrodkach doskonale wiem, że żaden elegancki kurort nie jest w stanie konkurować z „babską plażą”. Taka jest moja subiektywna opinia, ale prawdą jest również to, że z biegiem lat coraz bardziej brakowało mi w Narwi czystej wody. Gdy będąc już w Warszawie zaproponowano mi wyjazd na obóz studencki do Tykocina, pomyślałam sobie — doskonale, popływam w czystej Narwi. Ale znowu okazało się to niemożliwe. Najwyraźniej „błękitne” wody Narwi dostępne są tylko poetom, zwykli śmiertelnicy nie mają do nich dojścia. Ponarzekać zawsze można, ale matecznik, kraina zabaw dziecięcych i pierwszych planów na przyszłość zawsze w pamięci pozostanie, jak pisał Mickiewicz, „święta i czysta jak pierwsze kochanie”. Moja Ostrołęka tak właśnie utkwiała mi w pamięci.

Z Ostrołęki wyjechałam mając osiemnaście lat, lecz ciągle mieszkali tu moi rodzice, zatem często przyjeżdżałam. Na pewno na każde święta i może nie na każde, lecz na większość wakacji. Miasto, zwłaszcza, gdy zostało stolicą województwa, rozrosło się i wypiękniało. Jak grzyby po deszczu pojawiały się osiedla, restauracje, kawiarnie. Wybudowano nowy most, który usprawniał komunikację i likwidował tzw. „korki”. To było zupełnie inne miasto — dynamiczne, przykuwające uwagę kolorowymi wystawami sklepów, reklamami, spotami. Podziwiałam je, myśląc — nie bez żalu — to już nie jest tamta Ostrołęka.

Dom rodzinny — mój Ojciec

Nigdy nie da się odtworzyć dosłownie tego „jak było”, zawsze będą to jakieś „powidoki”, ale nie staram się konfabulować, upiększać, znacząco zmieniać faktów. A są to fakty, których nie zaczerpnęłam z jakich starych dokumentów czy trudno dostępnych źródeł, ale sama je doświadczyłam i przeżyłam. Znaczenie domu rodzinnego jest czymś oczywistym i nie ma powodu zapewniać, że tak właśnie jest. Jesteśmy w jakimś sensie echem naszej rodziny i tego jaki kształt nadało nam dzieciństwo. Rodzinę mamy na zawsze, bez względu na wszystko, bo nawet, gdy kontakty słabną, możemy je z powrotem zacieśnić.

Najstarszy brat, Stanisław, jest ode mnie prawie siedem lat starszy. Gdy ja dorastałam, on już wyjechał z Ostrołęki i rozpoczął dalszą naukę, najpierw studiując śpiew i muzykę w Studium Nauczycielskim w Grodzisku Mazowieckim, a potem historię na Uniwersytecie Warszawskim. Przysyłał mi nieraz płyty pocztówkowe z nagraniami, które sobie odtwarzałam na adapterze. Na szesnaste urodziny dostałam od niego płytę Beatlesów, którą przegrywałam w nieskończoność. Mieliśmy wówczas „Aidę” — duże radio z adapterem, najprawdopodobniej kupione przez ojca, gdyż zawsze kupował rzeczy duże, masywne i trwałe. Najmłodszy brat, Andrzej, jest z kolei ode mnie prawie pięć lat młodszy i wtedy traktowałam go jak dzieciaka. Ciągłe gdzieś tam chodził i wracał z obitymi kolanami. Kiedyś wszedł na płot i poważnie skaleczył rękę. Wszyscy byli

przerażeni, siostra płakała, babcia chciała wziąć go do szpitala, a on nie uronił nawet łezki. Najwyraźniej był zadowolony, że stał się centrum zainteresowania i wszyscy tylko nim się zajmowali. Był bardzo ładnym dzieckiem. Czarne włosy, także oczy i piękne, długie rzęsy. Szczególnie rzęsy zwracały uwagę, więc często go proszono: „Andrzejku, zamknij oczy”, co robił z przyjemnością. Kiedyś na Wielkanoc stłukł pisankę i przyszedł z nią do mnie prosząc: „Lucia, nareperuj”. Tłumaczenie, że to niemożliwe, zupełnie do niego nie trafiało, uważał, że wszystko można nareperować, nawet stłuczone jajko. Był zabawny, traktowaliśmy go jak maskotkę. Później, gdy zaczął dorastać pokazał, że ma charakter nie mniej skomplikowany niż jego starszy brat — jacyś „znajomi z Mazowieckiej”, gra na gitarze, do której nie miał talentu, szybkie samochody. Wiadomo, dorosnąć nie jest łatwo, a potem żyć jeszcze trudniej, ale ostatecznie Andrzej stał się ojcem bardzo zdolnej córki oraz szanowanym obywatelem podwarszawskiego miasta Brwinów. Starszy brat jest również ojcem zdolnej, już niestety nie takiej młodej, lekarki i dziadkiem pięknej wnuczki. Przez wiele lat uczył historii w Liceum Ogólnokształcącym w Milanówku, natomiast po przejściu na emeryturę wrócił do zainteresowań muzycznych, które w szkole średniej zaszczerpił w nim prof. Jan Górzyński. Jedno z pomieszczeń w jego mieszkaniu zastawione jest pucharami oraz obwieszane dyplomami. To, co wciąż robi (prowadzi zespół chórалny) nazywa się pasją, której każdemu, także jemu można pozazdrościć. Mało kogo stać dzisiaj na entuzjazm w działaniu, dlatego wzbudza mój, i nie tylko mój, podziw. Gdy ja kończyłam Liceum Ogólnokształcące moja siostra — Ania dopiero je zaczynała. W warszawskim akademiku na Kickiego mieszkał Wojtek Woźniak. Widząc jak pakuje swoje rzeczy zapytałam gdzie wyjeżdża, powiedział: do Ostrołęki uczyć polskiego. Jak się później okazało, uczył polskiego moją siostrę. Miałśmy jakieś wspólne koleżanki, których już dobrze nie pamiętam, no może poza Iwoną, z którą Ania była w jednej klasie. Iwona miała w sobie coś z rewolucjonistki — bunt i jakąś nieprawdopodobną energię, której nie umiała efektywnie spożytkować. Od-

znaczała się przy tym błyskotliwością oraz inteligencją. Jak widać powiązanie inteligencji z energią życiową wcale nie jest proste. Po-tem, gdy urodziła niepełnosprawne dziecko była jedną z pierwszych ostrołęczanek, której mąż zdecydował się wziąć urlop macierzyński.

„Wyścig szczurów”, czyli mordercza konkurencja nie jest wy-nalazkiem współczesnych, zawsze była i będzie. Wiedziałam, że nie-latwo jest, zwłaszcza, gdy pochodzi się z małego miasta, zdać eg-zamin na wyższą uczelnię, często odpadali najlepsi. Studiowanie w tamtych czasach było o wiele trudniejsze niż dzisiaj — funkcyj-nowało zaledwie kilka uczelni, które dbały o poziom. Zastanawia-łam się, jaki kierunek studiów Ania wybierze — wybrała astrono-mię. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, patrzenie w gwiazdy to fa-scynująca sprawa, ale... nawet ja, która zdecydowałam się, jako drugi kierunek, studiować filozofię miałam poważne wątpliwości, czy to dobry wybór. Przywiozłam siostrze *Wstęp do socjologii* Jana Szczepańskiego i prosiłam, żeby się zastanowiła nad socjologią, ona jednak nie była tym zachwycona. Ostatecznie zadecydował przypadek. Spotkałam na korytarzu w akademiku koleżankę z eko-nomii, która zaprosiła mnie na herbatę (wtedy jeszcze zapraszały-śmy się na herbatę, kawa pojawiła się później). W trakcie rozmowy napisała mi na kartce zadania z matematyki, które miała na eg-zaminie wstępnym. Wysłałam je siostrze i za kilka miesięcy Anka była już studentką ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego. Do tej pory nie jestem do końca przekonana, czy astronomia nie byłaby lepsza, ale stało się — mam siostrę ekonomistkę.

Od kiedy pamiętam zawsze byli z nami dziadkowie, tj. rodzice Mamy. Mieszkali obok, czujnie obserwując nasze zachowanie. Ro-dziców Taty nie pamiętam, gdyż zmarli przed moimi narodzinami. Mama miała dwie siostry i brata Ireneusza, który zmarł mając zale-dwie kilka miesięcy. Najmłodsza, Barbara, pracowała w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, jako lektorka ję-zyka angielskiego. Cecylia także mieszkała w Warszawie wykonując zawód architekta. Cecylia już w latach sześćdziesiątych prowadziła samochód, czym wzbudzała nasze uznanie, nawet podziw. Przyjeż-

dżała z mężem, Witoldem Giritatem, już wówczas znanym naukowcem (specjalistą od półprzewodników) stawiając samochód tuż przed wejściem do domu. Okrążaliśmy go ze wszystkich stron nazywając „taksówką”. Musieli nam zrobić krótki wykład z logiki tłumacząc, że każda taksówka jest samochodem, ale nie każdy samochód jest taksówką. Nieraz brali nas na „przejażdżkę”, ale nie zdarzało się to często. Moi dziadkowie byli jak najbardziej emocjonalnie dostępni i łączyła nas silna więź, lecz nie pamiętam, abym u któregoś z nich siedziała na kolanach. Była między nami bliskość i jednocześnie pewna odległość, którą wszyscy uznawali za coś oczywistego i czuli się z tym dobrze. Babcia była dla nas starszą kobietą i nie boję się użyć tego sformułowania, zjawiskiem. Zwykła i niezwykła zarazem przyciągała uwagę nie urodą czy strojami, chociaż była ładną kobietą, lecz głosem i sposobem prowadzenia rozmowy. Nie należała do tych kobiet, którym, jak to mówią, „nie zamykają się usta”, lecz przykuwała uwagę inteligencją, błyskotliwością, trafnością spostrzeżeń. Było w niej coś charyzmatycznego. To nie babcia, jak zazwyczaj bywa, chwaliła się wnukami, lecz wnuki podziwiała babcię. Nie miała żadnego wykształcenia, a mogłaby swobodnie konkurować z profesorkami wyższych uczelni. Jej przykład uświadomił mi, że wykształcenie nie jest aż tak bardzo ważne, chociaż nigdy go nie lekceważyłam. Dziadek w jej obecności w zasadzie milczał albo mówił niewiele, gdyż wiedział, że żona wytłumaczy wszystko najlepiej. Była kwintesencją uroku osobistego i kobiecości. Nie dziwię się, że Czesław w młodości stracił dla niej głowę, a później świata poza nią nie widział. Jej niemalże wierną kopią była Cecylia, zaś o mojej Mamie Oleńka (tak babcia miała na imię) mówiła: Haniu, ty jesteś w ogóle do mnie niepodobna. I rzeczywiście tak było. Mama nie tylko wygląd zewnętrzny, ale i cechy charakteru przejęła w dużym stopniu od dziadka, z którym łączyła ją szczególna więź emocjonalna. W moim warszawskim mieszkaniu, na komódce, stoi oprawiona w ramki fotografia z dedykacją: „Ofiarowuję kochanej Oleńce — Czesław”. Młody, dwudziestoletni mężczyzna, z jasnymi, czesanymi z tzw. „przedziałkiem” włosami, wąsikiem, regularnymi rysami twarzy

i utkwionym w dal spojrzeniem. Zdjęcie było zrobione prawdopodobnie tuż po jego powrocie z wojny bolszewickiej, zwanej „cudem nad Wisłą”, na której — co wiem z opowiadań — było tak strasznie, że zamierzał odebrać sobie życie. Ale przetrwał, spotkał Olę, założył rodzinę i przeżył życie tak, że pamiętają o nim dzisiaj nie tylko najbliżsi. Od czasu do czasu przyjeżdżamy na ostrołęcki cmentarz zrobić tzw. „porządki”: odświeżyć płyty grobów, położyć kwiaty, zapalić znicze. Jakież było nasze zdumienie, gdy w zwykły dzień (to nie był 1 listopada) przyszła nieznana nam kobieta, zapaliła świeczkę i położyła na grobie dziadka bukiet kwiatów. Powiedziała, że kiedyś w trudnej sytuacji bardzo jej pomógł i ona o tym pamięta. Dowiedzieliśmy się od nieznajomej tego, co od dawna każde z nas doskonale wiedziało, że Czesław Kukliński był dobrym człowiekiem. Można powiedzieć, „wyświechtane” określenie i nie wiadomo do końca co znaczy, ale trudno znaleźć lepsze i ono niemalże automatycznie nasuwa mi się, gdy myślę o dziadku.

Nie zamierzam tu szczegółowo przedstawiać swojej rodziny. Kto jak sobie życie ułożył, w jakie relacje wszedł, czy się rozwiódł, czy też dotrwał późnych lat w jednym związku. Nie wydaje mi się to konieczne. Tych kilka zaprezentowanych wyżej informacji wystarczy, żeby zacząć pisać o rodzicach, zwłaszcza o ojcu. Życie rodziców jest swoistego rodzaju księgą, z której czytają dzieci.

Moi rodzice mieli zupełnie różne charaktery. Ona — wyjątkowej wrażliwości introwertyczka, on żył światem zewnętrznym, który — jak to często bywa u mężczyzn — traktował jako pole walki. Był typem wojownika, uważał, że nic nie jest w sposób prosty dane, wszystko trzeba wywalczyć i zdobyć. Oboje pracowali w szkole wykonując zawód nauczycielski. Mamie, dzięki pomocy dziadka Kuklińskiego, udało się znaleźć pracę w Ostrołęce, Ojciec przez długi czas miał z tym kłopoty. Dojeżdżał rowerem do pod ostrołęckich wiosek takich jak Bandysie, czy Lelis. Stabilizację zawodową osiągnął stosunkowo późno, dopiero wtedy, gdy ukończył w Krakowie studia historyczne. Zrobił to, można powiedzieć, nadludzkim wysiłkiem pokonując jak taran przeciwności losu. Chło-

pak z Nakiel dzięki pracy i determinacji pokazał, że umie chcieć. Tata przez kilka lat spędzał każde wakacje w Krakowie zdając egzaminy w tzw. sesji letniej. Kiedyś, gdy wyjechał, młodszy brat — Andrzej bardzo ciężko zachorował. Mama wysłała do Krakowa telegram z informacją, że syn jest umierający. Zrozumiał, pewnie czytając pospiesznie, że umarł i przyjechał zbolący najszybciej jak mógł. Jakaż była jego radość, gdy dowiedział się że Andrzej jest tylko ciężko chory. Mama była troskliwa, nieraz za bardzo, lecz nie miała specjalnego talentu do gotowania. Jakaś zupa, ziemniaki i coś do nich. Gdy Andrzej szedł do wojska ugotowała mu bigos. Zdziwiłam się, gdyż nigdy czegoś takiego nie robiła. Mnie wtedy nie było, ale brat twierdzi, że bigos był wyśmienity i wspomina go do tej pory. Zapewnia również, że nikt tak jak Mama nie potrafił zrobić pierogów z kapustą, może tylko ja, gdyż podpatrzyłam jak je robiła (procedura była prosta, zwłaszcza, gdy chodziło o ciasto, żadnych udoskonaleń tylko mąka, woda i odrobina soli). Mój mąż, który doskonale gotował, chciał kiedyś zrobić kotlety mielone. Mama kategorycznie odmówiła, tłumacząc, że kuchnia to nie miejsce dla „chłopa”. Jej mielone były jednak fatalne, według mnie, najgorsze w Ostrołęce. Dużo czytała, w domu był zawsze „Głos Nauczycielski”, „Przyjaciółka” i „Kulisy”. Bibliotekę ostrołęcką miała chyba przeczytaną w całości. Niektóre książki czytała po kilka razy. Kiedyś przyjechałam z Kielc i zastałam ją śpiącą w fotelu z *Chłopami* Reymonta w ręku. Mówię — przecież to Mama dokładnie zna, a ona — tak, ale lubię sobie niektóre fragmenty odświeżyć. Potrafiła jeść obiad i czytać gazetę albo książkę. Nie było to zachowanie wzorcowe, ale czuliśmy się z tym dobrze. Czasy stalinowskie odcisnęły na niej, zresztą nie tylko na niej, trwały ślad. Starła się być jak najdalej od spraw ideologicznych, gdyż wiedziała, że partia wiele może, przede wszystkim może pozbawić pracy, na co, mając liczną rodzinę, nie mogła sobie pozwolić. Gdy w czasie stanu wojennego wysłałam do Ostrołęki list, w którym cenzura wycięła niebezpieczne, jak uznano, fragmenty, była bardzo niezadowolona. Uznała, że się niepotrzebnie narażam, chociaż nie było

w liście żadnych treści antypaństwowych. Z pewnym lękiem zareagowała również, gdy siostra nazwała swojego psa „Zyta”. Zwróciła uwagę, że tak ma na imię ważna pani minister i może lepiej byłoby tak psa nie nazywać. Nawet w późnym wieku szybko się uczyła i przekonywała do spraw, które wcześniej ignorowała. Staś, zapalony kibic futbolu, nauczył Mamę (mającą już prawie dziewięćdziesiąt lat) oglądać mecze piłki nożnej. Robiła to z przyjemnością, a z komentarzy wynikało, że rozumiała co się dzieje na boisku. Oprócz chodzenia do Kościoła nic nam nie próbowała narzucić. Żadnych sztywnych norm, pełna swoboda. Miała swoje principia i pewnie chciała żeby dzieci je podzielały, lecz nie starała się nas jakoś wyraźnie formować. Nie narzucała swoich poglądów innym, ale też nie pozwoliła, by jej cokolwiek narzucić. Była osobą wewnątrz sterowną — gdy czegoś nie chciała nikt nie był w stanie jej do tego zmusić. Kiedyś siostra przywiozła z Grodziska Mazowieckiego, gdzie mieszkała, grzejnik olejowy do ogrzewania mieszkania i musiała go wziąć z powrotem, gdyż Mama powiedziała swoje stanowcze — nie. W kuchni stała stara, poniemiecka szafa. Zajmowała dużo miejsca i do niczego, tak naprawdę, nie była potrzebna. Używaliśmy różnych forteli, by ją wyrzucić i nic nie pomogło — stoi do tej pory. Właściwie niewiele mówiła o swoich dzieciach. Jedna z mieszkających na Łęczysku sąsiadek, gdy ją spotkała, ciągle opowiadała o sukcesach córki, która była mniej więcej w moim wieku i studiowała w Białymstoku polonistykę. Mama tylko słuchała, potakiwała, nieraz coś odpowiedziała, ale na zasadzie odbicia piłeczki, nie chwaliła się naszymi sukcesami, choć przecież miałyby co powiedzieć. Nie była zbyt wylewna, dopiero pod koniec życia, mieszkając u mnie, na warszawskiej Saskiej Kępie, powiedziała: „mam dobre dzieci”. Życie jakie jest, każdy widzi. Nic więc dziwnego, że co wrażliwsze osoby starają się zbudować świat wewnętrzny, równoległy do zewnętrznego i wpuszczają do niego tylko te emocje, które są im niezbędne dla zachowania równowagi. Tak właśnie postępowała moja Mama. Miała w sobie prawdziwą religijność, żadnej fasady, tylko własne przemyślenia i autentyzm. Nigdy nie

używała zwrotu, „co ludzie powiedzą”, chyba ją to aż tak bardzo nie interesowało. Starła się żyć zgodnie z prawem boskim i bardzo przeżywała, gdy, z jakich powodów było to niemożliwe.

Wojna poczyniła wielkie spustoszenia w każdej polskiej rodzinie, także w naszej. Ojciec stracił wszystkich — rodzice zmarli, brat Feliks został zamordowany przez Niemców w Nakłach, inni bracia zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Próbował ich później odnaleźć przez Czerwony Krzyż, lecz bez powodzenia. W ten sposób stał się jedynym spadkobiercą majątku w Nakłach. W gruncie rzeczy było z tym wiele kłopotów, gdyż ziemia wymagała gospodarka na co dzień, ojciec natomiast studiował, pracował w szkole i zajmował się pracą społeczną. Do Nakła wrócił będąc na emeryturze, próbował gospodarować, lecz to wymagało konkretnej fizycznej siły, której miał już coraz mniej. My natomiast tak ułożyliśmy sobie życie, że nikt nie zamierzał prowadzić gospodarstwa w Nakłach. Gdy Tata był już w zaawansowanym wieku i zaczęło mu trochę szwankować zdrowie, zasugerowałam mu przygotowanie do druku pracy magisterskiej *Udział Kurpiów w walkach narodowowyzwoleńczych w XIX wieku*. Pomyślałam, po co ma zadręczać się, że życie jest marne i nic go już ciekawego nie czeka, niech lepiej czeka na książkę. Zaczęłam na ten temat rozmawiać z Ostrołęckim Towarzystwem Naukowym. Otrzymałam wstępną zgodę, lecz próbowałam się upewnić, czy to na pewno chodzi o pracę magisterską. Tytuł magistra nie robił w tym czasie żadnego wrażenia, należało być, co najmniej doktorem. Ostatecznie książka została wydana jesienią 2004 roku. Przyniosłam do domu dużą ilość egzemplarzy i wszystkie rozrzuciłam na tapczanie. To była fantastyczna chwila, Tata cieszył się jak dziecko, oglądał książkę ze wszystkich stron nie mogąc uwierzyć, że to jego. Na okładce umieszczone zostało zdjęcie i krótki tekst, który tu przytaczam: „Tadeusz Wiśniewski urodzony 27 lipca 1919 roku, pow. Ostrołęka. Historyk, absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Całe swoje życie zawodowe poświęcił nauczaniu oraz wychowaniu dzieci i młodzieży. Po wojnie pracował, jako nauczyciel w szkołach powiatu ostrołęckiego, następnie

w Ostrołęce w Szkole Podstawowej nr 4 oraz w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 (obecnie im. 5 Pułku Ułanów Zasławskich). Związany z Ostrołęką oraz ziemią kurpiowską podejmował na jej rzecz szereg inicjatyw. Na początku lat sześćdziesiątych był organizatorem Muzeum w Ostrołęce i jego kierownikiem. Organizował wiele wystaw o tematyce regionalnej i rocznicowej oraz inicjował umieszczanie tablic poświęconych ważnym wydarzeniom historycznym².

Gdy przechodzę przez Plac Bema, gdzie umieszczona jest jedna z takich tablic, niejako bezwiednie przypominam sobie wydarzenia, które towarzyszyły jej odsłonięciu, zwłaszcza zabieranego Ojca, który nerwowo palił papierosy (robił to bardzo rzadko) i zastanawiał się czy wszystko zostało „zapięte na ostatni guzik”. Na tego typu uroczystościach rodzina była w komplecie, chyba, że zatrzymywały nas jakieś ważne okoliczności. Nie dlatego, że aż tak bardzo chcieliśmy w nich uczestniczyć, lecz Ojciec wcześniej wysyłał informację: jeżeli nie przyjedziecie przestanę się do was odzywać. Na takie *dictum* mogła być tylko jedna reakcja — wszyscy byli obecni. Pomysł zorganizowania Muzeum Historycznego Ziemi Kurpiowskiej w Ostrołęce pojawił się w głowie mojego Taty najprawdopodobniej pod koniec lat pięćdziesiątych. Pełnił wówczas funkcje społecznego opiekuna zabytków. Muzeum znajdowało się na Fortach gen. Bema. Jego otwarcie miało miejsce 28 maja 1961 roku. W rodzinnym albumie znajduje się fotografia upamiętniająca ten fakt. Pożółkłe, już nieco zniszczone zdjęcie, na którym ówczesny przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej — Stanisław Maryniak — przecina wstęgę, obok stoi Ojciec, nieco dalej ksiądz. To był, przypominę, początek lat sześćdziesiątych, jak Ojcu udało się zorganizować uroczystość, gdzie obok przedstawicieli władz miasta byli również hierarchowie Kościoła, pozostanie jego tajemnicą. Prowadzono w tym czasie bezceremonialną walkę z Kościołem, w jej ramach zakazano między innymi religii w szkołach. Pamiętam, zorganizowano reprezentację

² T. Wiśniewski, *Udział Kurpiów w walkach narodowowyzwoleńczych w XIX wieku*, OTN, Ostrołęka 2004.

dzieci, (w której i ja się znalazłam), by poszły do Wydziału Oświaty prosić o przywrócenie religii w szkole. Inspektor Alojzy Fronczak — zapamiętałam to nazwisko, gdyż często pojawiało się w prowadzonych przez rodziców rozmowach — popatrzył na nas dobrotliwie, poczęstował cukierkami i kazał iść do domu. Ale nie każdy w takiej sytuacji potraktowany byłby z dobrotliwym uśmiechem. Zachowania, które przeczyły oficjalnej linii partii mogły oznaczać tylko jedno — kłopoty. Mój Ojciec nie był członkiem PZPR, nie przeciwstawiał się partii, nie manifestował również jakoś szczególnie swojego katolicyzmu, postępował na własną rękę i to wystarczyło, żeby miał permanentne kłopoty. W muzeum zorganizowane na Fortach Bema włożył całe swoje serce i dużo pieniędzy. Prawdą jest, że udawało mu się znaleźć sponsorów — Fabrykę Celulozy i Papieru, ostrołęcką Elektrownię, lecz głównym sponsorem był on sam finansując prowadzone prace z własnych pieniędzy. W swojej kolekcji miał wiele wartościowych eksponatów — żołnierskie mundury, pięknie inkrustowane szable, stare, nieraz unikatowe monety. Starszy brat urządził kiedyś z kolegami zawody sportowe. Wziął ze zbiorów muzealnych dużą, masywną kulę z powstania listopadowego (oczywiście w tajemnicy przed Ojcem) i rzucił, jak najdalej, przed siebie. Wpadła do ogródka sąsiadki i zdawało się, że przepadła na zawsze, z sąsiadką nie było żartów, lecz jakoś udało się ją odzyskać. To były bezcenne zbiory, z czego nie w pełni zdawaliśmy sobie sprawę. By je zaprezentować, Tata zamówił u stolarza przeszklone gabloty, stoliki, dostosowane do eksponatów podstawki. Kupił kiedyś zielone, ładne chodniki. Cieszyłam się — akurat było to przed Wielkanocą, że rozłożymy je na święta, lecz zostały wywiezione do muzeum, ponieważ tam okazały się bardziej potrzebne.

W rodzinnym archiwum znalazłam wiele dokumentów świadczących o funkcjonowaniu tego pierwszego, ostrołęckiego Muzeum. Między innymi artykuł Wiesława Danielaka³ (maj 1966),

³ W. Danielak, maj 1966, ze zbiorów własnych. [Przedruk, brak tytułu artykułu oraz nazwy gazety].

w którym pisze: „Wewnątrz betonowego sześcianu⁴ zastałam pana Tadeusza Wiśniewskiego, z zawodu nauczyciela, z wykształcenia historyka, z zamiłowania opiekuna zabytków. On to z własnej inicjatywy dogląda mauzoleum, a robi to z dużym poświęceniem”. W roku 1966 świętowano tysiąclecie państwa polskiego. Z racji tego jubileuszu, pisze dalej autor artykułu, Forty Bema zostały odmalowane, ale tak niefortunnie, że „oszkłony dach zaciekał”, dlatego gabloty „przysłonięto przed deszczem tekturą”. Tekst kończy się apelem o pomoc władz: „Trudno wprost uwierzyć, by w Roku Tysiąclecia, Mauzoleum Bema było sprowadzone do roli tła dla filmowego ekranu⁵, a jego opiekun pozostawiony sam sobie”. Apel pozostał bez echa i Ojciec musiał dalej samotnie borykać się z trudnościami. Jeden człowiek nie był w stanie udźwignąć tej sytuacji, ani finansowo, ani czasowo, ani fizycznie, ani w żadnym innym sensie, dlatego musiał z tej działalności zrezygnować. Gdy Forty Bema były w ruinie i nic nie wskazywało, że pomysły Ojca przybiorą realny kształt, nikt się nim nie interesował i mógł robić swoje. Sytuacja zmieniła się, gdy Muzeum nie tylko zostało otwarte, ale zaczęło cieszyć się coraz większym zainteresowaniem ludzi. Ówczesne władze, zwłaszcza organizacja partyjna, postanowiły je przejąć i uczynić własnością miasta. Rozmowom, które usiłowano z Ojcem w tej sprawie prowadzić nie towarzyszyła partnerska wymiana myśli, tylko presja i dyktat. Żaden z decydentów nie zaproponował np. jakiejś formy zabezpieczenia zabytków przed złodziejami, a on sam nie był w stanie skutecznie takiej ochrony zorganizować. Rozmawiano z pozycji siły, po prostu żądano, by oddał wszystko — klucze, pieczętkę oraz to, co najcenniejsze, czyli zbiory. Nic dziwnego, że nie powiedział: tak, oczywiście, z przyjemnością zrobię to, czego ode mnie żądacie. Czuł się niedoceniony, upokorzony i w pewnym sensie „zaszczuty”, czego nie mówił, lecz trudno było tego nie zauważyć. Po odebraniu mu prawa do pro-

⁴ Chodzi o forty Bema.

⁵ Zorganizowano tam kino letnie.

wadzenia Muzeum zamieszkał w Nakłach, gdzie do późnych lat gospodarował na ojcowiznie. Muzeum miało charakter społeczny i było wyrazem inicjatywy obywatelskiej. W czasach PZPR-u, gdy o samorządności nie było mowy Tata podejmował działania „oddolne”, ożywiające życie kulturalne Ostrołęki. Nie ulega wątpliwości, że obecne Muzeum Kultury Kurpiowskiej jest w jakimś sensie dalszym ciągiem oraz spadkobiercą Muzeum zainicjowanego i prowadzonego przez Tadeusza Wiśniewskiego, co warto dostrzegać, gdyż wymaga tego ciągłość kultury kurpiowskiej.

Pamiętam Ojca z różnych okresów życia, ale coraz częściej chcę zapamiętać go jako przystojnego mężczyznę w sile wieku, z ciemnymi włosami, gładko przyczesanymi oraz lekko świecącymi od brylantyny, w okularach, z łagodnym, lecz zdecydowanym tembrem głosu. Tak wygląda na zdjęciu, które noszę w torebce i od czasu do czasu wyjmuję, żeby obejrzeć, a jego charakterystyczny głos ciągle dźwięczy mi w uszach — upływ czasu tego nie zmienia. Każdy ma w życiu okres, można powiedzieć „optymalny”, takie swoje „pięć minut”, gdy najlepiej funkcjonuje, najwydajniej pracuje, najwięcej daje z siebie innym. Dla mojego Ojca były to lata sześćdziesiąte oraz siedemdziesiąte. Był wówczas mężczyzną w kwiecie wieku, zdrowym (nie pamiętam, by mu kiedykolwiek, cokolwiek dolegało), silny, odnoszący sukcesy właściwie na wszystkich polach. Miał rodzinę, dobrą pracę, ukończone studia (czym w tym czasie niewielu mogło się szczycić) oraz znaczące osiągnięcia w działalności społecznej. Był działaczem w najlepszym tego słowa znaczeniu, nie dla profitów i stanowisk, lecz z wewnętrznej potrzeby.

W 2019 roku, 27 lipca, minęła setna rocznica urodzin naszego Ojca. Postanowiliśmy ją uczcić wspomnieniami oraz wspólnym obiadem w jednej z restauracji w Grodzisku Mazowieckim. Na deser podano tort z napisem „sto lat”. Wzruszające chwile, byliśmy wszyscy w komplecie, także osoby zaprzyjaźnione. Ciepłe lipcowe popołudnie, obok jezioro i dużo zieleni. Jestem pewna, że Tacie to rodzinne spotkanie bardzo by się podobało.



Czesław i Aleksandra Kuklińscy



Czesław Kukliński



Rodzina Kuklińskich, Czesław i Aleksandra oraz córki – z prawej Barbara, z lewej Cecylia



Halina Kuklińska (Wiśniewska)



Cecylia Kuklińska



Barbara Kuklińska



Aleksandra i Czesław Kuklińscy



Mój dom na ulicy Łęczysk 29, tuż po wojnie



Aleksandra i Barbara Kuklińskie w ogrodzie, na tle domu



Ania i Andrzej Wiśniewscy



Lucyna Wiśniewska z Mamą



Rodzina Wiśniewskich. Halina i Tadeusz oraz dzieci: Stanisław, Lucyna, Ania i Andrzej



Halina Wiśniewska



Lucyna Wiśniewska (komunia)



Lucyna Wiśniewska w klasie maturalnej



Lucyna Wiśniewska na sudiach w Krakowie



Tadeusz Wiśniewski



Tadeusz Wiśniewski – nauczyciel historii w ostrołęckim Technikum Papierniczym



Zebranie założycielskie Muzeum na Fortach Bema (1959)



Wybór Tadeusza Wiśniewskiego na społecznego opiekuna zabytków (1959)



Otwarcie Muzeum Na Fortach Bema w Ostrołęce (1961) — Stanisław Marzyński Przewodniczący PRN przecina wstęgę

Wyjazd do Warszawy

Lubiłam matematykę, zwłaszcza w szkole podstawowej, lecz czysta abstrakcja bez podkładu empirycznego, raczej mnie nie interesowała. Nigdy nie potrafiłam myślenia oddzielić od emocji, dlatego wybrałam polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Nie pamiętam, by Warszawa zrobiła na mnie oszałamiające wrażenie, chociaż nie czułam się w niej jakoś specjalnie zagubiona. Może dlatego, że zawsze lubiłam dynamikę dużych miast i nigdy nie miałam potrzeby zamieszkania w jakimś zacisznym zakątku. Mimo wszystko podjęcie studiów było dla mnie sytuacją rewolucyjną. Perspektywa nowego życia fascynowała, ale zmieniało się wszystko: miejsce zamieszkania, ludzie, wykonywane zajęcia. Musiał minąć jakiś czas i to nie krótki, zanim oswoiłam się z nową sytuacją i uznałam, że teraz tak już będzie. Ścieżki na ulicę Kickiego, gdzie znajdował się akademik, przetrąła mi Mama. Pojechała tam wcześniej, obejrzała pokój, załatwiła formalności i po powrocie dokładnie mi wszystko zrelacjonowała. Jechałam do Warszawy spokojna, nie spodziewając się jakichkolwiek komplikacji. Niestety nie obyło się bez nich. Już po zameldowaniu dowiedziałam się, że zarobki rodziców przekraczają nieco próg finansowy, poniżej którego można ubiegać się o akademik. Poza tym nie mam pochodzenia robotniczego, co wówczas było ważne. Okazało się, że najprawdopodobniej będę musiała szukać mieszkania na mieście. Gdy dowiedziałam się o tym, usiadłam na łóżku i zaczęłam płakać. Pierwszą osobą, która przy-

szła do pokoju była Krystyna. Nawet mnie specjalnie nie wypytywała o co chodzi. Wyciągnęła z torby sernik, zrobiła herbatę i zaczęłyśmy rozmowę. Zapewniała mnie, że znajdzie się jakieś wyjście z tej sytuacji i tak było. Co zrobił mój Ojciec (gdyż on tą sprawą się zajął), jakie dokumenty dostarczył? Nie wiem, ale mogłam mieszkać w akademiku do końca studiów. Na Kickiego były dwa stojące naprzeciwko siebie (wybudowane tuż po wojnie) akademiki: męski i żeński. Rygorystycznie przestrzegano czasu odwiedzin — po godzinie dwudziestej drugiej, nikt płci odmiennej nie mógł znajdować się na terenie nie swojego akademika. Portierki miały wiele kłopotów, gdyż wymyślano najrozmaitsze sposoby na obchodzenie obowiązujących przepisów. Kilka miesięcy temu, mając jakieś sprawy do załatwienia na ulicy Grochowskiej, zaszłam na Kickiego (jest przecznicą Grochowskiej), ażeby zobaczyć jak akademiki wyglądają po latach. Właściwie niewiele się zmieniły. Weszłam do środka, usiadłam z boku i zatopiłam się we wspomnieniach. Przemijanie, jakkolwiek by je poeci i filozofowie określali, nie jest ani piękne, ani przyjemne. Czesław Miłosz w jednym z wierszy napisał: „Przemijanie — jestem przeciw”. Ja też jestem przeciw, tylko że niewiele z tego protestu wynika. Pewnie siedziałabym tam dłużej, lecz podeszła do mnie portierka i zapytała, czy czegoś szukam. Odpowiedziałam, że nie i już wychodzę — choć chciałabym powiedzieć, że szukam straconego czasu.

Skład koleżanek w pokoju na Kickiego zmieniał się, nie wszystkie już pamiętam. Krystyna była pewnego rodzaju *constans*. Mieszkałyśmy razem przez całe studia, także potem, gdy podjęłam pracę w Bibliotece Pedagogicznej w Alejach Jerozolimskich wynajmując mieszkanie na ulicy Słupeckiej. W akademiku prowadziłyśmy ożywione życie towarzyskie. Piło się herbatę za herbatą (najczęściej „Madras”) i rozmawiało o różnych sprawach — o tym jak się ubrać, umalować czy upiąć włosy. Opowiadałyśmy sobie o chłopakach, randkach, także o uczuciach, które ciągle się komplikowały. Nieco inaczej wyglądały rozmowy, gdy by-

łyśmy we własnym gronie, inaczej, gdy przychodzili do nas goście, zwłaszcza płci męskiej, którym zależało by zaprezentować jakiś poziom. Pojawiały się wówczas takie tematy jak: odkrycia archeologiczne (znajomy koleżanki studiował archeologię), zdobycze cywilizacyjne, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, uznawanych za kraj wzorcowy; zawile kwestie prawne, o które potrafiłno nieraz spierać się godzinami. Stosunkowo mało rozmawialiśmy na tematy polityczne. To był początek lat siedemdziesiątych, gdy faktycznie rządził — pełnił funkcję pierwszego sekretarza PZPR — Edward Gierek. Komunizm w Polsce miał się wówczas dobrze i nawet filozofom nie przyszłoby do głowy, że w prostej linii doprowadzi do kapitalizmu. Jeszcze ciągle w sklepie na ulicy Grochowskiej mogłam kupić kilka plasterków szynki, ale to nie trwało długo, już niebawem maszyny do krojenia wędlin stały się bezużyteczne, gdyż dostępna była tylko tzw. kiełbasa „zwyczajna”, którą na ogół kupowano w większych ilościach. Bardzo szybko jej również zabrakło i pozostały puste haki. W ten sposób najlepszy z możliwych ustrojów sygnalizował, że wyczerpuje swoje możliwości i trudno powiedzieć kiedy, ale nadejdzie radykalna zmiana. Ukryte pod hasłem jedności moralno-politycznej narodu negatywne emocje oraz głębokie antagonizmy musiały eksplodować i eksplodowały, ale później. W tym czasie uważano jeszcze, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i różnymi sposobami starano się zintegrować inteligencję z klasą robotniczą. Służyły temu między innymi praktyki robotnicze studentów. Taką praktykę odbyłam w fabryce kosmetyków Pollena Uroda w Warszawie na ulicy Szwedzkiej. Pomysł zatrudnienia studentów na trzy tygodnie w fabryce oceniam pozytywnie, a zdobyte tam doświadczenia zaliczam do bezcennych. Naszym, czyli praktykantów, zadaniem było sortowanie mydełek „For you”. Integracja z pracownikami, właściwie z pracownicami, gdyż głównie kobiety stały przy taśmie, polegała na szybkim przechwytywaniu mydełek, obserwowaniu czy nie są uszkodzone i wkładaniu do kartonów. Szybkość miała decydujące znaczenie. Gdy zagapiłam się

lub zwolniłam tempo stojąca obok mnie kobieta komentowała: Lalcia pospiesz się, tu nie uniwersytet, tu się pracuje. Kiedyś pytałam ją, gdzie kartony później są wysyłane — to były dobre mydelka, chętnie kupowane nie tylko w Polsce, lecz także za granicą. Nie umiała odpowiedzieć, mimo że w fabryce pracowała już kilkanaście lat, stwierdziła, że ją to nie interesuje.

Specyfika studiów polonistycznych wymagała chodzenia do teatru, co było obowiązkiem, ale też przyjemnością. Nie omialiśmy również premier filmowych. Rokrocznie, chyba na wiosnę, organizowano „konfrontacje” z najnowszymi filmami polskimi i zagranicznymi. Nie wyobrażałam sobie, że mogę z nich zrezygnować. W pokoju nie miałyśmy ani telewizora ani radia, tylko lokalny radiowęzeł, co wzmagало „głód” informacji i zachęcało nie tylko do czytania gazet, ale także chodzenia do kina i oglądania filmów.

Dziewczęta w dużo mniejszym stopniu niż chłopcy skłonne są przechodzić kryzys wartości. Bardziej potrzebują poczucia bezpieczeństwa i stabilności, dlatego rzadko (w każdym razie w kręgu moich znajomych) zdarzały się koleżanki, które postępowały niekonwencjonalnie, manifestowały swoją niezależność i prowokowały. O wiele częściej robili to chłopcy, zwłaszcza w środowisku socjologów, które — można powiedzieć — było wówczas najbardziej „sfermentowane”. Bunt, protest, drwina, ironia — to broń, którą się posługiwali. Zdolni byli w karykaturalnym świetle przedstawić wszystkich razem i każdego z osobna. Robili to w imię ideałów, oczywiście społecznych, gdyż czuli się w tej dziedzinie specjalistami. Mogłam ich bliżej poznać poprzez Jacka, z którym początkowo łączył mnie luźny związek, natomiast później — uczucie, które dzisiaj, z odległej perspektywy, zaliczam do ważnych. Byłam jednak wówczas zbyt niedojrzała, by zbudować trwałą relację. Musiało minąć sporo czasu zanim to się stało — już w innym mieście i z kimś innym. To był okres tuż po marcu 1968 roku. Ciągłe głośnym echem odbijały się protesty studenckie, które miały miejsce także na Kickiego. Mieszkający tam

socjologowie tworzyli — można powiedzieć — wspólnotę indywidualistów. W ich dyskusjach często pojawiały się „wydarzenia marcowe”, głównie z prześmiewczymi komentarzami na reakcję PZPR-u. Tadek Burger doskonale parodiował Gomółkę, przywołując między innymi słowa: „Marzec wywołali ludzie o moralności Alfonsa”, „Hryń”, czyli Janek Hryniewicz, z charakterystycznym, szelmowskim uśmiechem narzekał na „wycieruchów katedralnych”, czyli pracowników naukowych, do których później sam dołączył, natomiast Jacek miał zawsze w zanadrzu jakiś okolicznościowy dowcip i doskonałą puentę. Przychodził nieraz „Sołtys”, to nie nazwisko, ani, tym bardziej funkcja, tylko ksywa. Tak wszyscy go nazywali, dlatego nawet nie pomyślałam, by zapytać o jego imię i nazwisko. „Sołtys” wyróżniał się wrażliwością artystyczną, właściwie muzyczną. On jeden chodził na koncerty do filharmonii. Najwyraźniej nikogo więcej nie mógł namówić, gdyż chodził sam. Inni też interesowali się muzyką, np. Jacek lubił Boba Dylana, ale na słuchaniu płyt się kończyło, potrzebę bywania w filharmonii miał tylko „Sołtys”. Kiedyś po koncercie przyszedł z potłuczoną, obandażowaną głową. Nie był rozmowny, a na pytanie, co się stało odpowiadał z irytacją — dajcie mi spokój. W tej sytuacji Jacek zabrał głos i wyczerpująco, chociaż trudno powiedzieć czy wiarygodnie, wytłumaczył: w filharmonii rozegrała się bitwa między zwolennikami Mozarta i Vivaldiego. Zwolennicy Vivaldiego dysponowali mniejszą siłą. Nasz „Sołtys” znalazł się niestety wśród nich, dlatego wrócił z obandażowaną głową. Poszkodowany był zdruzgotany, ale koledzy podtrzymywali go na duchu, jak mogli. Nawet obiecali, że na przyszły koncert pójdą wszyscy razem, by go ewentualnie wesprzeć. I jeszcze jeden chłopak, którego, mimo upływu czasu, dobrze pamiętam — Michaluk, czyli „Michaś”. Najkrócej mówiąc — lubił dziewczyny a one lubiły jego. Najwyraźniej był jednak zniechęcony drobnomieszczańskim zachowaniem Polek, ich wątpliwościami, czy aby nie przekraczają właściwych granic. Wolał Amerykanki i Szwedki, gdyż były naturalne, spontaniczne, potrafiły się wy-

zbyć ograniczeń i hamulców. Kiedyś, gdy dość bezceremonialnie postępował z bardzo ładną Amerykanką zwróciłam się do Jacka z prośbą, żeby zareagował. Popatrzył się na mnie z politowaniem dodając, że Polkom daleko do cywilizowanego świata.

Było tam dużo polityki. Pamiętam ile radości wywołała lektura książeczki o Leninie, gdzie w każdym rozdziale przedstawiano odrębną cnotę wodza rewolucji. Naszą naturalną radość życia podsycaliśmy winem marki „Gelala” — może nie najlepszej jakości, ale wówczas wydawało się znakomite. Byliśmy młodzi, trzeba było żyć, cieszyć się, co przychodziło wtedy z zadziwiającą łatwością. Akademik na Kickiego, jak wszystkie inne instytucje, miał wielu informatorów, którzy donosili Służbie Bezpieczeństwa, ale to, co tam się działo, nie było działalnością „wywrotową” mogącą w czymkolwiek zagrozić stabilności ustrojowi. Po prostu studencka zabawa, która, chyba jednak, przyciągała uwagę „Bezpieki”. Dla tej instytucji wszystko było ważne.

Socjologowie, jako fachowcy od stosunków społecznych, doskonale wiedzieli jak kształtować prawidłowe relacje między ludźmi i z właściwym sobie krytycyzmem wskazywali na wszelkie w tym względzie deformacje. Zastanawiające, że na ogół, — co widzę, gdy z perspektywy czasu przypatruję się ich życiorysom — nie potrafili sami takich relacji stworzyć. Ich związki wcześniej czy później rozpadały się, co przypłacali frustracją, niekiedy także depresją. Być może głęboki sens tkwi w powiedzeniu: „Szewc bez butów chodzi”.

Studia polonistyczne stanowią bez wątpienia ważny okres w moim życiu, lecz nie pamiętam profesorów czy doktorów, którzy by na mnie zrobili jakieś szczególne wrażenie i w sposób znaczący wpłynęli na dalsze moje życie. W Instytucie Filologii Polskiej „krążył duch” profesora Witolda Doroszewskiego, wybitnego językoznawcy, który był już jednak na emeryturze i nie miałam z nim zajęć. Pamiętam wykłady z poezji współczesnej prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego, ale nie dlatego, że były szczególnie ciekawe, lecz z powodu tubalnego głosu profesora

oraz praktykowanego zwyczaju. Na każdym niemal wykładzie wyszukiwał jakąś ładną studentkę, która czytała analizowane przez niego wiersze. Utrwalił mi się również wizerunek prof. Artura Sandauera — wybitnego krytyka literackiego, którego wcześniej, jeszcze w liceum, znałam z publikacji. Miał w sobie szczególną ekspresję, jakąś egzaltację, która nie odbierała mu, lecz właśnie dodawała męskiego uroku. Lubił nas zapewniać, że zawsze był sobie wierny, a w czasach stalinowskich, gdy nie mógł pisać prawdy, zajmował się jedynie tłumaczeniami. Długo wahałam się, jakie wybrać seminarium. Ostatecznie zdecydowałam się na teorię literatury, seminarium prowadzone przez prof. Andrzeja Lama. Pracę magisterską napisałam na temat teorii powieści Georga Lukacsa — węgierskiego teoretyka literatury oraz filozofa. Już wcześniej interesowała mnie filozofia. Systematycznie chodziłam na wykłady prof. Adama Sikory — znawcy filozofii polskiej. Wykłady w tym czasie nie były obowiązkowe. Traktowano nas jak ludzi dorosłych, którzy wiedzą, co powinni robić, dlatego nie wywierano nacisku i nie wyciągano konsekwencji np. z faktu, że ktoś nie uczęszcza na wykłady. Filozofia nie jest dla wszystkich, to raczej dyscyplina elitarna, która przyciąga uwagę nielicznych. Na wykłady Adama Sikory chodziło dosłownie pięć osób, choć kiedyś przyszło siedem. Profesor przetarł okulary, uśmiechnął się i powiedział: Ale dzisiaj tłumy. Następnie z właściwym sobie stoickim spokojem przeszedł do wykładu. Pamiętam, wracaliśmy kiedyś, w niewielkiej grupie z — jak to się dzisiaj mówi — jakiejś „imprezy” i ja z przerażeniem uświadomiłam sobie, że następnego dnia mam kolokwium z filozofii, do którego nie jestem zbyt dobrze przygotowana. Gdy zaczęłam nad sobą ubolewać, któryś z kolegów powiedział — przecież coś tam napiszesz. I rzeczywiście, coś tam napisałam. Wtedy w najśmielszych myślach nie przyszłoby mi do głowy, że w przyszłości to ja będę egzekwować od studentów wiedzę filozoficzną.

Jeszcze przed ukończeniem studiów podjęłam pracę w redakcji technicznej przy Instytucie Lotnictwa, który znajdował się

w Warszawie przy Alei Krakowskiej. Każda redakcja, nawet techniczna, wydawała mi się wówczas lepsza niż praca w szkole. Miałam nadzieję, że to będzie przepustka do pracy dziennikarskiej, szybko jednak życie zweryfikowało moje wyobrażenia. Korekta tekstów technicznych w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała pracy dziennikarskiej. W większości nie rozumiałam tego, co czytam. Opis techniczny samolotów budził we mnie niepokój, gdyż nie panowałam nad tekstem. Nie wolno mi było ingerować w sprawy merytoryczne, lecz nieraz to robiłam, gdy coś mi źle brzmiało, był niepoprawny szyk zdania, bądź też miałam wątpliwości odnośnie właściwego doboru wyrazów. Inżynierowie — autorzy tekstów, z którymi zobowiązana byłam skonsultować poprawki zgadzali się jedynie na korektorską kosmetykę, coś więcej zawsze budziło ich sprzeciw. Jako pracownik redakcji technicznej PZL Okęcie miałam przepustkę na halę, co mi pozwalało obserwować proces produkcyjny samolotów. To było bardzo interesujące, dawało mi pewnego rodzaju odprężenie i pozwalało oderwać się od „niewolniczej” — jak ją wówczas postrzegałam — pracy przy biurku. Pewnym urozmaicheniem było dla mnie odwiedzanie Głównego Urzędu Kontroli, Publikacji i Wydawnictw. Każda instrukcja, folder, czy prospekt musiały być zatwierdzone przez Cenzurę i najczęściej mnie z tymi materiałami na ulicę Mysią wysyłano. Może to wydawać się zabawne, wręcz groteskowe, jak można było zakładać, że w instrukcji obsługi samolotu znajdują się treści zagrażające stabilności ustroju socjalistycznego, ale postępowano, jak gdyby tak właśnie było. Pracy redakcyjnej najwyraźniej nie lubiłam, ale traktowałam ją, jako pewnego rodzaju wyzwanie i starałam się wywiązywać z nałożonych obowiązków najlepiej jak potrafiłam. Moim zadaniem nie było zrozumienie tekstu, lecz naniesienie poprawek stylistycznych oraz interpunkcyjnych. Niepotrzebnie usiłowałam ustalić, o co w tekście chodzi, to był błąd, który z pewnością szybko udałoby mi się wyeliminować, gdybym została w redakcji dłużej. Moja niechęć odnosiła się wyłącznie do czytanych tekstów, gdyż koleżanki, tak-

że w większości polonistki, były sympatyczne. Niektóre z nich pamiętam do dzisiaj. Przy biurku naprzeciwko, siedziała Monika, która samotnie wychowywała syna. Można było uczyć się od niej życzliwości i optymizmu, ale jednocześnie widać było, że skrywa w sobie jakiś głęboki niepokój, nerwowość, którą próbowała maskować paleniem dużej ilości papierosów. Nie była polonistką, chyba skończyła filologię rosyjską. Lubiłyśmy ze sobą rozmawiać, często chodziłyśmy do znajdującej się w Instytucie Lotnictwa stolówki na lunch lub herbatę. To ona namówiła mnie, żeby złożyć wypowiedzenie, obronić pracę magisterską i ewentualnie później wrócić lub znaleźć sobie inne zajęcie. Tak właśnie zrobiłam. Fakty następowały zgodnie z planem, obroniłam pracę magisterską, wyjechałam do Ostrołęki, potem wróciłam do Warszawy i zaczęłam na nowo szukać zatrudnienia. I tym razem miałam nadzieję, że podejmę pracę w jakiejś redakcji, już nie technicznej, to jednak okazało się o wiele trudniejsze niż myślałam. Ostatecznie znalazłam pracę w Bibliotece Pedagogicznej, która znajdowała się wówczas w Alejach Jerozolimskich. Dawało mi to elementarną stabilizację, mogłam wynająć mieszkanie i poczuć się normalnie, bez lęku, co będzie jutro.

Moja Mama niezbyt dobrze znosiła krzyk dzieci w szkole, a na przerwach w „szóstce”, gdzie pracowała, było niewyobrażalnie głośno. Gdy przychodziła do domu wyłączała wszystko — radio, telewizor — musiało być cicho. Pracę w bibliotece postrzegała, jako zajęcie o szczególnych walorach, które ją niestety ominęły. Cicho, spokojnie, wokoło dużo książek oraz czytelniczy, którym można doradzić w wyborze lektur. Nic dziwnego, że gdy dowiedziała się o mojej pracy w bibliotece była szczęśliwa. Ale biblioteka bibliotece nierówna. Mamy wyobrażenia o tej instytucji zupełnie nie przylegały do mojego, nowego miejsca pracy. Było ono w samym sercu Warszawy, dlatego przewijały się przez nie tłumy. To była praca „w pędzie”, tam się nie chodziło tylko biegało. Na dyżurze najczęściej byliśmy dwie, czasem trzy, chwile odpoczynku należały do rzadkości, pracowaliśmy bez wy-

tchnienia, a i tak ciągle ustawiały się kolejki. Dyrekcja powinna była zatrudnić magazyniera, który przynosiłby książki i ponownie odnosił już przeczytane na regał ale, w ramach oszczędności etat zlikwidowano i bibliotekarki musiały same tę pracę wykonać. To była połowa lat siedemdziesiątych, o komputeryzacji nikt jeszcze nie słyszał. W tych warunkach najtrudniej było funkcjonować informacji naukowej, którą komputeryzacja usprawniła w niespotykany dotąd sposób. Wykonywanie, nawet krótkie, zawodu bibliotekarza jest dobrą szkołą życia. Wymaga, wręcz wymaga dokładność, by nie powiedzieć pedanterię. Jeżeli komuś tej cechy brakuje musi się jej nauczyć. Niedokładny bibliotekarz to zły bibliotekarz. Tu ma znaczenie każda kropka, przecinek, takie, a nie inne oznakowanie. Ignorowanie tych drobiazgów grozi chaosem, który wszędzie stwarza problemy, a w bibliotece szczególnie. Nie powinni wykonywać zawodu bibliotekarza ci, którzy mają silną potrzebę manifestowania własnego *ego*. To nie to miejsce. Praca bibliotekarza wymaga pewnej pokory, ustawienia się na drugim planie, by dobrze usłyszeć i właściwie rozpoznać potrzeby czytelnika. Bibliotekarz musi lubić ludzi, jeżeli ma z tym kłopoty, zajęcie, które wykonuje nie da mu satysfakcji.

Niespełna rok pracy „za ladą” (tak nazywaliśmy miejsce wydawania i przyjmowania książek) był dla mnie wielce pouczający. Właściwie czułam się już prawie bibliotekarką, lecz w jakimś momencie pomyślałam sobie — może by coś zmienić. Przechodząc Krakowskim Przedmieściem zauważyłam na drzwiach Instytutu Filozofii plakat anonsujący wykład. Zapisałam w notesie datę i godzinę prelekcji nie będąc pewną, czy z tej notatki skorzystam. Ostatecznie zdecydowałam się na wykład iść, ale najprawdopodobniej nie był zbyt interesujący, gdyż szybko zapomniałam zarówno tytuł, jak i nazwisko prelegenta. Nie wykład jednak okazał się w tym wypadku ważny, lecz znajomi, których spotkałam. Rozmawiali o naborze na studia doktoranckie z filozofii, który z jakichś powodów został w Warszawie wstrzymany. Zapytałam: co zamierzają robić? Powiedzieli, że jest nabór w Krakowie,

na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale to trochę daleko. Ta wiadomość nie od razu w pełni do mnie dotarła, tkwiła gdzieś tam w podświadomości, aż pewnego dnia poszłam na pocztę, spisałam numer telefonu i zadzwoniłam do Krakowa. Otrzymałam krótką, merytoryczną informację dotyczącą rozmowy kwalifikacyjnej, potrzebnych dokumentów oraz wysokości stypendium, które dostawałabym, gdyby sprawy przybrały pomyślny obrót. Nie przypominam już sobie wysokości stypendium ale pamiętam, że pomyślałam — przecież niewiele różni się od mojej bibliotekarskiej pensji, zatem nic nie mam do stracenia. Filozofia zawsze mnie interesowała, chodziłam na dodatkowe zajęcia z tego przedmiotu, czytałam książki ale teraz trzeba było zdać poważny egzamin. Czasu było niewiele, a po całym dniu stania „za ladą”, wydawania i przyjmowania książek, miałam ochotę tylko odpocząć. Wiedziałam jednak, że nie mogę się skompromitować i do egzaminu muszę być przygotowana. Dobrą stroną pracy w bibliotece była dostępność książek. Miałam pod ręką każdą, która mi była potrzebna. Przynosiłam je do wynajmowanego wówczas mieszkania na ulicy Słupeckiej, czytałam, robiłam notatki, porządkowałam w głowie przyswojony materiał i czekałam na termin rozmowy kwalifikacyjnej. W pracy niektórzy wiedzieli o moich planach, lecz oficjalnie z dyrekcją na ten temat nie rozmawiałam. Wzięłam kilkudniowy urlop i pojechałam do Krakowa. Z egzaminami nigdy nie miałam problemów, wyjątkiem był ten na prawo jazdy. Teraz też poszło dobrze i to na tyle, że już po egzaminie wiedziałam, że jestem przyjęta. To była wiedza intuicyjna, lecz ja wierzę swojej intuicji. Wyniki przyszły po jakimś czasie, chyba po około trzech tygodniach i potwierdziły moje przypuszczenia. Był początek lipca, do października pozostawało jeszcze kilka miesięcy, zatem mogłam spokojnie porządkować swoje sprawy. Najpierw postanowiłam porozmawiać z panią Dyrektor. Była żoną jakiegoś znanego działacza partyjnego, dlatego wszyscy uważali, że bardzo dużo może i odnosili się do niej z atencją. Ona starała się być miłą i przychodziło jej to łatwo, gdyż taka

w gruncie rzeczy była. Gdy przechodziła do swojego gabinetu przez główne pomieszczenie, a nie było innej możliwości, przesyłała pojednawcze spojrzenia i roztaczała woń bardzo dobrych perfum. Nie widziałam jej w złym nastroju. Tego dnia, gdy umówiłam się z nią na rozmowę także była rozpromieniona. Pogratulowała mi, powiedziała, że da jak najlepsze referencje i dodała, że planowała „przesunąć” mnie do czytelni, gdzie byłoby trochę spokojniej, ale to już nie ma znaczenia. Pozostała mi jeszcze rozmowa z rodzicami. Mama, gdy jej przedstawiłam sytuację, zaczęła przypominać sobie wykłady z filozofii, które miała na Studiach Nauczycielskich w Ciechanowie. Wykładowca, zapewne w ramach poprawienia nastroju, powiedział im, że „filozofia to szukanie czarnego kota w ciemnym pokoju”, co mi powtórzyła i z pewnym niepokojem dodała: dziecko, czym ty się będziesz zajmowała? Ojciec miał mniej wątpliwości. Był zadowolony, że jadę do Krakowa — miasta, gdzie sam studiował. Lato szybko minęło, przyszła jesień i pora wyjazdu. Gdy byłam już spakowana i czekałam na taksówkę, która mnie zawiezie na Dworzec Centralny usłyszałam w radiu refren piosenki:

„Pojedziemy do Krakowa
a gdy przyjdzie pora płowa
Odnajdziemy stare słowa
i zaczniemy jeszcze raz”.

Wszystkie drogi prowadzą do Krakowa

Próbuję przypomnieć sobie wrażenie, jakie po raz pierwszy zrobił na mnie Kraków. Przede wszystkim było tu spokojniej niż w Warszawie. Wydawało mi się, że nawet tramwaje jeżdżą wolniej. Mogłam poruszać się swobodnie, bo nie miałam ze sobą prawie nic. Wszystko zostawiłam w Warszawie, gdyż aby przewieźć nawet trochę rzeczy, jakieś ubranie, koc, kołdrę, musiałam najpierw znaleźć mieszkanie. Było ciepłe, wrześniowe popołudnie. Dojechałam tramwajem do teatru Bagatela i przeszłam ulicą Szewską na Rynek Główny. Zobaczyłam Kościół Mariacki, Sukiennice, pomnik Mickiewicza — wszystko to, co znałam z filmów, pocztówek, opowiadań Ojca. Zająłam miejsce przy stojącym na zewnątrz kawiarnianym stoliku, coś u kelnera zamówiłam i siedziałam tak wpatrując się w tłum ludzi, głównie przemieszczające się wycieczki. Odreagowywałam w ten sposób zmęczenie po wielogodzinnej podróży oraz wchłaniałam atmosferę miasta, które przez kilka następnych lat miało być moim miastem. Wiedziałam, że ze znalezieniem mieszkania nie będzie łatwo, hotel asystencki mi nie przysługiwał, trzeba było szukać czegoś na mieście. Pomyślałam sobie — to mój pierwszy dzień w Krakowie, jest fantastycznie, o kłopotach z wynajęciem mieszkania zacznę myśleć jutro. Przespacerowałam się po Rynku, kupiłam w Sukiennicach jakieś drobiazgi i poszłam na ulicę Krupniczą, gdzie już wcześniej, w skromnym hoteliku, zarezerwowałam nocleg. Następnego dnia rozpoczęłam od pójścia do Instytutu Fi-

lozofii, który znajdował się na ulicy Grodzkiej. Załatwiłam w sekretariacie konieczne formalności oraz dostałam kilka wskazówek, co robić dalej i jak szukać mieszkania. Przede wszystkim znalazłam umieszczone na tablicy ogłoszeń adresy, które okazały się bardzo pomocne. Jeden z nich wskazał mi miejsce, gdzie spędziłam kilka najbliższych miesięcy. To było typowe, znajdujące się na peryferiach Krakowa, wielkomiejskie osiedle. Nie pamiętam jego nazwy, lecz zapamiętałam ulicę — Na Błonie, oraz nazwisko właścicielki mieszkania — Pani Korczyńska. Nazwiska najprawdopodobniej dzisiaj bym już nie pamiętała lecz, gdy je zanotowałam, pomyślałam — jak w *Nad Niemnem*. Pani Korczyńska nie przypominała jednak zupełnie Emilii z powieści Orzeszkowej. Nie była oderwaną od życia neurastenicką, lecz dobrze osadzoną w realiach młodą kobietą, która spotkała na swej drodze, jak to często bywa, niewłaściwego mężczyznę. Przyjechała jakiś czas temu z Wrocławia, gdzie nie zakończyła jeszcze sprawy rozwodowej. Mieszkała z kilkunastoletnim synem, rano szła do pracy (w jakimś biurze), wracała około szesnastej i zaczynała narzekać na ród męski w ogóle, a na swojego męża w szczególności. Jej matka — starsza kobieta, która przyjeżdżała od czasu do czasu z podkrakowskiej wioski Gdów — przyszła kiedyś do mojego pokoju z wyraźną chęcią porozmawiania: pani Lucynko, powiedziała, czy to tak być powinno, że córka zamiast rano zaczynać dzień od modlitwy, rozpoczyna od złorzeczenia na męża? Zgodziłam się z nią, że tak być nie powinno. Powiedziała również, że podjęła starania, by zięć przyjechał do Gdowa i przespacerował się z córką po wsi, przecięłoby to trudne do zniesienia plotki, lecz najprawdopodobniej, dodała zrezygnowana, nic z tego nie będzie. Rzeczywiście, pomysł okazał się nierealny, małżonek nie przyjechał do Krakowa, a rozwód bardzo szybko stał się faktem. W domu Pani Korczyńskiej był niewyobrażalny bałagan. Nieposłane łóżko, porozrzucane buty, niepozmywane naczynia. Ciągłe sprzątała i niewiele się zmieniało. Była nieszczęśliwą, zgorzkniałą kobietą, której życie nie układało się zgodnie

z powszechnie obowiązującymi wzorcami, dlatego do wszystkich, oprócz siebie, miała pretensje. Nie pamiętam jednak, by między nami dochodziło do jakichś sytuacji konfliktowych. Starła się być miłą, zdarzało się nawet, że — gdy nie szła do pracy — przynosiła mi rano, na śniadanie, zacierki z mlekiem, danie, którym systematycznie karmiła swojego syna.

To nie było wymarzone miejsce do mieszkania, ale było — jak to się mówi — miałam dach nad głową. Na szukanie lepszego nie miałam ani czasu, ani ochoty. Należało skupić się na bieżących czynnościach, tj. chodzeniu na zajęcia, szukaniu promotora, ustalaniu tematu pracy doktorskiej.

Druga wojna światowa oraz okres powojenny, podporządkowany administracyjnemu nakazowi propagowania marksizmu, źle wpłynął na kondycję filozofii w ogóle oraz na jej poszczególne odmiany. Ideologizacja filozofii polskiej była wówczas faktem, z którym wszystkie ośrodki musiały się liczyć. W latach pięćdziesiątych XX wieku marksizm stał się tubą ideologiczną partii i jako taki uznany został za jedyną, godną uwagi filozofię oraz najlepszą z możliwych metod uprawiania nauk społecznych. Leszek Nowak w pracy *U podstaw socjalizmu* wskazał na trzy główne płaszczyzny, którymi po wojnie starali się zawładnąć komuniści: ekonomiczną, polityczną i duchową. Komunista, jak określił, chciał być „trójpanem — władcą, rządcą i kapłanem”⁶. W najmniejszym stopniu naciskom partyjnym uległ, propagujący neotomizm, Katolicki Uniwersytet Lubelski, lecz była to filozoficzna wykładnia katolicyzmu, wtedy marginalizowanego i zwalczanego. W życiu filozoficznym Polski międzywojennej ważną rolę odegrała szkoła lwowsko-warszawska, która po wojnie została przytłumiona przez marksizm, ale ciągle cieszyła się zainteresowaniem i uznaniem. Jej echem były prowadzone w połowie lat siedemdziesiątych na Uniwersytecie Jagiellońskim wy-

⁶ L. Nowak, *Polskie drogi do socjalizmu*, w: tenże, *U podstaw teorii socjalizmu*, t. 3, Poznań 1991, s. 298.

kłady filozoficzne prof. Jana Woleńskiego i *stricto* logiczne prof. Andrzeja Wrońskiego. Obowiązywało nas zdanie egzaminu z logiki matematycznej, co wcale nie było proste. Wtedy tak uważałam i teraz również, że filozofom bardziej od matematycznej potrzebna jest logika klasyczna — system formalny złożony z rachunku zdań i kwantyfikatorów. W tym czasie w Krakowie żywo interesowano się myślą fenomenologiczną. Miało to z pewnością związek z osobą Romana Ingardena — wieloletniego dyrektora Instytutu Filozofii UJ, twórcy estetyki fenomenologicznej. Ingarden zmarł w czerwcu 1970 roku, zatem (w kontekście tamtej sytuacji) stosunkowo niedawno. Pozostawił wielu wybitnych uczniów takich jak profesorowie: Władysław Stróżewski, Danuta Gierulanka, Maria Gołaszewska, którzy rozwijali i propagowali jego poglądy. Odrębny typ filozofowania proponował Zbigniew Kuderowicz. Założeniem metodologicznym profesora było szukanie treści filozoficznych — dotyczących bytu, poznania, wartości, w utworach niefilozoficznych czy też parafilozoficznych. W literaturze polskiej wiele jest tekstów, które można analizować od strony filozoficznej. Profesor znajdował je głównie w kulturze przełomu XIX i XX wieku. Pokłosem seminarium, które prowadził na temat myśli filozoficznej modernizmu było wiele znakomitych analiz twórczości młodopolskiej. Dotyczyły one zarówno poszczególnych postaci, takich jak Stanisław Przybyszewski, Zenon Przesmycki, Tadeusz Miciński, jak i całej epoki traktowanej, jako ważny fragment polskiej kultury. Dla mnie ten typ filozofowania był najbardziej odpowiedni, gdyż mogłam wykorzystać swoją wiedzę filologiczną, lecz nie od razu to sobie uświadomiłam. Na początku myślałam o napisaniu pracy *sensu stricto* filozoficznej, np. dotyczącej fenomenologii R. Ingardena lub egzystencjalizmu K. Jaspersa. Z tych krętych ścieżek szybko wyprowadził mnie prof. Kuderowicz tłumacząc, że powinnam wykorzystać wiedzę polonistyczną i połączyć ją z filozoficzną. Ostatecznie moja praca doktorska dotyczyła koncepcji człowieka w poglądach Karola Irzykowskiego. Us-

talenie tematu i napisanie planu to połowa sukcesu. Sporządzić plan w sposób odpowiedzialny, (tzn. tak, żeby wiedzieć, jakie konkretne treści kryją się w wyszczególnionych rozdziałach i podrozdziałach) jeszcze wtedy nie byłam w stanie, po prostu nie miałam przeczytanej odpowiedniej ilości lektur. Ale wiedziałam, o co mi chodzi, dlatego mogłam przystąpić do pracy. Rozpoczęło się wielogodzinne przebywanie w bibliotece, najczęściej w Jagiellonce. Przychodziłam tam niemalże codziennie, jak do miejsca pracy. Wiele osób robiło podobnie, można je było spotkać w bibliotecznej kawiarence, gdzie przychodziły robiąc przerwę w pracy. Właścicielką kawiarenki, czy może baru — trudno mi to miejsce dzisiaj określić — była pani w średnim wieku, z krótko podciętymi, już trochę siwiejącymi, włosami. Jak się później dowiedziałam, pracowała tam już kilkanaście lat. Z wieloma osobami była w jakimś sensie zaprzyjaźniona, sama nawiązywała rozmowę, zachwalała swoje produkty, czego nie musiała robić, gdyż wiadomo było, że są świeże i smaczne. Nie raz przychodziły tam osoby wyjątkowe, np. Izydora Dąbska — ikona polskiej filozofii analitycznej, czy Józef Tischner — twórca filozofii dialogu. Z Panią Dąbską udało mi się kiedyś zamienić kilka słów. Robiła wrażenie osoby surowej i niedostępnej, ale chyba taka nie była.

Do domu wracałam późno, najczęściej, gdy już zamykano bibliotekę. Kiedyś nieoczekiwanie Pani Korczyńska powiedziała: będziesz musiała (zwracała się do mnie na „ty”) znaleźć sobie inne mieszkanie. Wy tłumaczyła, że z powodu przyjazdu brata, który zatrzyma się u niej na jakiś czas, jak długo - nie jest w stanie określić. Czułam się już w miarę zadomowiona, a tu trzeba zaczynać od początku — czytanie ogłoszeń, zbieranie adresów, telefony, negocjacje. Jeżeli z wynajęciem obecnego mieszkania nie miałam problemu — przyszłam, ustaliłam warunki i zostałam, to teraz przeszkody zaczęły się piętrzyć. Następnego dnia, jak zwykle udałam się do biblioteki i jak zawsze zrobiłam przerwę w pracy. Nie poszłam jednak wypić kawy, lecz usiadłam

w holu na ławce zastanawiając się, co dalej z mieszkaniem. Musiałam mieć zboląłą minę, gdyż podeszła do mnie kobieta z pytaniem, czy nic mi nie jest. Wyczułam, że jest chętna mnie wysłuchać, więc podjęłam rozmowę. Przedstawiłam problem i usłyszałam następujące słowa: sytuacja trudna, ale znam gorsze. Proszę przyjść jutro do informacji naukowej, gdzie pracuję, a ja dzisiaj po południu zadzwonię do znajomej, która ma wolny pokój. Wprawdzie nie zamierza go wynajmować, ale może zmieni zdanie. Jak się niebawem okazało, nieznaną była Pani Zofia Skwarnicka, żona znanego, krakowskiego poety, podobno za przyjaźnionego z Karolem Wojtyłą. Sprawy przybrały pomyślny obrót. Już po kilku dniach mieszkałam na ulicy Szewskiej, w starej, szesnastowiecznej kamienicy, tuż przy Rynku Głównym. Lepszego miejsca nie mogłam sobie wymarzyć. Piękny, duży pokój (w amfiladzie), na ścianach oryginalne obrazy Axentowicza, Malczewskiego, Wyspiańskiego, stylowe meble typu biedermeier. Pamiętam słowa Mamy, gdy mnie po raz pierwszy odwiedziła: Lucia, ty mieszkasz jak na Wawelu. Rzeczywiście, mieszkanie robiło wrażenie. Na jego wynajęcie, ze skromnego stypendium, nie byłoby mnie stać, ale właścicielka — Pani Stefańska (emerytowana bibliotekarka) nie żądała wysokiego czynszu. Chciała mieć obok siebie sympatyczną dziewczynę, z którą będzie mogła od czasu do czasu porozmawiać, a ja — powiem nieskromnie — taką byłam. Wkrótce dowiedziałam się, że ma kłopoty sama ze sobą. Nawiedzały ją stany depresyjne. Mówiła np. „Dzisiaj zaprowadziłam się do fryzjera”, co wskazywało na jej ogromny wysiłek. Twierdziła, że to genetyczne — była krewną Jerzego Broszkiewicza, znanego pisarza krakowskiego, który także cierpiał na tę dolegliwość. Jej depresja — jak mi tłumaczyła — była endogenna, sama z siebie, bez przyczyn zewnętrznych, ale niektóre z nich dało się zauważyć gołym okiem. Mąż, który znalazł sobie inną kobietę oraz synowie, którzy przychodzili tylko po to, by powiedzieć dzień dobry i szybko się pożegnać. Starła się być towarzyską, przyjmowała gości, lecz ciągle tkwiła w jakimś mrocz-

nym nastroju. Oczekując gości stawiała na stole winiak na rumie i miniaturowe kanapki. Winiaku należało wypić tylko niewielką ilość, większa, komentowana była później, jako coś niestosownego. Gdy dzwonił dzwonek do drzwi najczęściej ja wychodziłam przywitać i wprowadzić gości. Jeżeli byli to panowie, zawsze mówili: „całuję rączki”. Nigdzie z tym się później nie spotkałam, a było to bardzo sympatyczne. Goście mieli swój sznyt, a prowadzone przy stole rozmowy określony poziom. Pani Stefańska była chodzącą encyklopedią, zawsze, na każdy temat potrafiła przedstawić zwięzłą „informację naukową”. Posiadała rzeczywiście ogromną wiedzę.

Kraków ze swoją niepowtarzalną atmosferą w pełni ujawnił mi się dopiero, gdy zamieszkałam na Szewskiej. Fakt, że kamienica, będąca teraz moim domem, pamiętała czasy Kochanowskiego (Kraków nie był w czasie wojny zniszczony) wpływał na mnie oszałamiająco. Wychodziłam z bramy i kilka kroków dalej znajdował się Teatr Stary, nieopodal były Sukiennice, codziennie słyszałam grany na żywo hejnał z wieży Bazyliki Mariackiej. Tuż przy schodach prowadzących do kamienicy stał ubrany w regionalny strój, starszy mężczyzna, który przygrywał na skrzypcach skoczne melodie: „Albośmy to, jacy tacy”, „Krakowiaczek jeden”, „Hej, od Krakowa jadę”. W Rynku miał swoją siedzibę kabaret „Piwnica pod Baranami”, miejsce z historią, z duszą, z niepowtarzalnym, artystycznym klimatem. Na Szewskiej zawsze było gwarно, ale naprawdę głośno robiło się, gdy grała „Cracovia” lub też nastawał czas „juwenaliów”. Przemarszom, śpiewom, dzikiej maskaradzie nie było wówczas końca. Juwenalia z 1977 roku zapamiętałam jak żadne inne, gdyż zbiegły się z tajemniczą śmiercią studenta polonistyki — Stanisława Pyjasa. Zginął siódmego maja, kilka dni przed juwenaliami. Kamienica, w której rzekomo spadł ze schodów, (tak sytuację przedstawiała Służba Bezpieczeństwa) znajdowała się po drugiej stronie ulicy Szewskiej. Pomyślałam sobie — gdybym wówczas wyjrzała przez okno. Potem okazało się, że każdy, kto coś więcej

na ten temat wiedział, nie tylko miał kłopoty, lecz po prostu zniknął, więc może lepiej, że tę noc przespałam nie wyglądając przez okno. W miejscu gdzie doszło do tragedii utworzono coś w rodzaju małego ołtarza. Umieszczono zdjęcie, składano kwiaty, palono świeczki, wspomniano zmarłego i dyskutowano. Po raz pierwszy słyszałam dyskusje polityczne prowadzone na ulicy. W komunizmie naprawdę nie było ani wolności słowa, ani wolności zgromadzeń. Musiało znajdować się tam dużo pracowników Służby Bezpieczeństwa, ale nie rzucali się w oczy. Natomiast, gdy poszłam do Instytutu na Grodzką, gdzie wszyscy mniej lub bardziej się znali, nie trudno ich było rozpoznać. Nawet nie starali się maskować - stali, spacerowali, palili papierosy, gotowi w każdej chwili odpowiednio zareagować. Wykazywali, jak sądzę, maksimum dobrej woli, gdyż przy wejściu do Instytutu umieszczono fragment tekstu Leszka Kołakowskiego, na który nie reagowali. Nie pamiętam już, czego dotyczył, chyba wolności. Może po prostu stwierdzili, że filozofowie o wolności mogą sobie opowiadać, to niegroźne. Filozofowie rzeczywiście lubią komplikować problemy, ale to co ważne najczęściej jest proste. Dla mnie w tym czasie prawda zawierała się w prostym rozumowaniu — jeżeli rozpoczęłam pracę doktorską to muszę ją skończyć. Mój promotor, czyli profesor Z. Kuderowicz był nie tylko doskonałym specjalistą ale też człowiekiem, który wzbudzał zaufanie, jemu się po prostu wierzyło. W tego typu relacji jest to chyba najważniejsze. Pamiętam, że po każdej rozmowie, dotyczącej poszczególnych rozdziałów, czy też całości pracy, wychodziłam z gabinetu profesora w dobrym nastroju, najwyraźniej „podbudowana”, chociaż nie zawsze to, co przynosiłam do przeczytania było najwyższej próby. Trzy lata szybko minęły i mój pobyt w Krakowie zbliżał się do końca. Pracę doktorską miałam właściwie skończoną ale coś tam jeszcze należało dopisać, zrobić ostateczną korektę, to wymagało spokoju i skupienia, o co nie było łatwo, gdy miałam świadomość, że za miesiąc lub dwa przestanę otrzymywać stypendium i zabraknie mi środków do życia.

Podjęłam pracę jako nauczycielka języka polskiego w jednym z krakowskich liceów, lecz na godzinach zleconych, bez gwarancji stałego zatrudnienia. Znowu zaczęłam szukać pracy. W Krakowie pewnie bym ją znalazła, lecz co z mieszkaniem? Mogłam zawsze jechać do Ostrołęki, tam był przecież mój dom rodzinny, ale o tym nie pomyślałam. Zdecydowałam się natomiast zadzwonić do kadr Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Odesłano mnie do dziekana Wydziału Humanistycznego, który, po dłuższej rozmowie, obiecał mi pół etatu z możliwością zamieszkania w hotelu asystenckim. Była połowa października, na uczelni zajęcia już się zaczęły, dlatego zaproponował, ażebym semestr zimowy miała wolny, odpracowując wszystkie godziny w semestrze letnim. To było jakieś rozwiązanie, w tamtej sytuacji uważałam, że dobre. Przygotowywałam się do wyjazdu z Krakowa. Niektórzy zadawali mi pytanie: nie żal ci? Może było mi trochę żal, ale nie widziałam innego wyjścia. Postanowiłam zorganizować dla kilku znajomych spotkanie pożegnalne. Na Szewskiej było to raczej niemożliwe, sfinansowanie restauracji przekraczało moje zasoby finansowe, ostatecznie spotkaliśmy się u Stefanii — koleżanki, która wykładała filozofię na krakowskiej WSP. Lubiliśmy się, lecz nie łączyła nas jakaś wielka zażyłość. Stefania miała w sobie coś intrygującego — prostolinijna, a jednocześnie nieuchwytna jak rtęć, poważna i zarazem skora do zabawy. Był 16 październik 1978 rok, dzień jak każdy inny, a jednak szczególny i to nie dlatego, że zorganizowałam wówczas spotkanie towarzyskie. Wszyscy byli w doskonałych nastrojach, opowiadano dowcipy, grała muzyka, nagle Stefania, która na chwilę wyszła do drugiego pokoju, wróciła i oznajmiła: wybrali Karola Wojtyłę na papieża. Zapanowała krótka cisza, a później wybuch radości. Nie sposób było w tej sytuacji siedzieć w domu. Zdecydowaliśmy się iść na Rynek Główny, gdzie były już tłumy ludzi. Trudna do opisania eksplozja radości, śpiewy, tańce, korowody wokół Sukiennic i pomnika Mickiewicza. Strzelały w górę korki od szampana. Trwało to do białego rana. Następnego dnia po-

szłam na Grodzką załatwiać ostatnie przed wyjazdem formalności i zobaczyłam w Instytucie Filozofii ogłoszenie informujące o mającej się odbyć mszy św. w intencji nowego Papieża. Dzisiaj byłoby to normalne, lecz wtedy takie ogłoszenie w państwowej uczelni było czymś niezwykłym, dlatego zwróciło moją uwagę na tyle, że pamiętam je do tej pory.

Kielce oraz Góry Świętokrzyskie znałam tylko z lekcji geografii. Byłam chyba w drugiej klasie szkoły podstawowej, gdy na akademii zorganizowanej w ostrołęckim parku recytowałam taki oto wierszyk:

Góry Świętokrzyskie są właściwie niskie,
Szary mech porasta drogi kamieniste.

Gdy dojeżdżałam do Kielc pomyślałam sobie — teraz wreszcie zobaczę, jakie są te Góry Świętokrzyskie.

Kielce — w pół drogi między stolicami

Do Kielc przyjechałam pociągiem wcześniej rano. Musiałam poczekać kilka godzin zanim się nie tylko rozwidniło, lecz zaczęły funkcjonować instytucje, konkretnie administracja Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie miałam do załatwienia wiele spraw związanych z nową pracą. Dworzec był wówczas stosunkowo nowy, czysty, z barem szybkiej obsługi oraz kawiarenką. Można było usiąść przy stoliku, coś zamówić i przesiedzieć tak nawet kilka godzin. Teraz (tzn. w 2019 roku) są tam dwa kioski z prasą oraz słodyczami i nic więcej — kawa i herbata tylko z automatu. Myślę, że tamten czas był okresem świetności dworca, dzisiaj wygląda dużo gorzej.

Czekał mnie trudny dzień, najważniejszą sprawą było załatwienie formalności związanych z hotelem asystenckim. Gdy się z nimi uporałam byłam po prostu z siebie zadowolona. W hotelu na ulicy Śląskiej, za stosunkowo niewielką opłatą, miałam zapewnione prawie wszystko — wodę, światło, gaz, nawet wymianę pościeli, no i oczywiście samodzielny pokój. Był niezbyt duży ale — jak to się mówi — „ustawny”, ze wszystkim co mi było potrzebne — niewielkim tapczanem, biurkiem, fotelem i szafą. Kłopot miałam z meblościanką, która oddzielała mnie od sąsiadki, gdyż zbyt dużo słyszałam co się dzieje za ścianą. Nieraz działo się rzeczywiście dużo, ale starałam się nie zwracać na to uwagi. Sąsiadka, bardzo ładna dziewczyna (asystentka wychowania muzycznego), mieszkała na stałe poza Kielcami i w hotelu na Ślą-

skiej przebywała rzadko, tylko wtedy, gdy miała zajęcia, co mi pomagało tę sytuację zaakceptować. W końcu wszystko się jakoś ułożyło, więc taki drobiazg nie powinien był zatruwać mi życia. Zgodnie z ustaleniami, zajęcia miałam rozpocząć dopiero w drugim semestrze; w pierwszym chodziłam tylko na dyżury i zebrania. Wstępnie zatrudniono mnie na Bibliotekoznawstwie obiecując, po obronie doktoratu, przejście do Instytutu Nauk Społecznych. Dostałam pełen wachlarz przedmiotów: filozofię, logikę, teorię kultury, chciano mi dać nawet historię filmu, ale wyraźnie zaoponowałam. Dlaczego – zapytałam — przecież nie znam się na tym? W odpowiedzi usłyszałam, że piszę pracę doktorską o K. Irzykowskim, a on jest autorem *X Muzy*, zatem znam się również na filmie. Miałam ochotę powiedzieć, że jeżeli przejeżdżam koło Radomia to nie znaczy, że znam to miasto, ale przemilczałam, a zajęcia z filmu dostał ktoś inny. Taka różnorodność przedmiotów oznaczała tylko jedno — żmudne przygotowywanie konspektów. Należało zacząć od razu, gdyż później mogło nie wystarczyć na to czasu. Przygotowanie ćwiczeń jest pracochłonne, ale wykładów dużo bardziej. Na ćwiczeniach można próbować uaktywnić studentów, zachęcić do dyskusji, na wykładzie jest tylko mój monolog. Jak miałam poczuć się na zajęciach pewnie i swobodnie, gdy ciągle zmieniano mi przedmioty i sugerowano, że znam się na sprawach, które mi były w gruncie rzeczy obce? Należało w tej sytuacji szybko obronić pracę doktorską. W tamtych czasach doktorat trudniej było uzyskać niż dzisiaj, ale znaczył o wiele więcej. Obecnie zdegradowany został właściwie do poziomu pracy magisterskiej i mieć go może prawie każdy. Obrona pracy doktorskiej rzeczywiście zmieniła moją sytuację zawodową. Zostałam zatrudniona już na pełnym etacie w Instytucie Nauk Społecznych, gdzie prowadziłam zajęcia wyłącznie z filozofii. Zanim jednak do tego doszło zdarzył się fakt, który w istotny sposób zadecydował o moim dalszym życiu. Na zebraniu Zakładu Bibliotekoznawstwa ówczesny jego kierownik prof. Adam Massalski (późniejszy rektor) oznajmił, że Uczelnia ma do rozdysponowa-

nia mieszkania spółdzielcze w nowo budowanym wieżowcu na ulicy Orkana i między innymi ja zostałam umieszczona na liście przyszłych lokatorów. Przyjęłam tę wiadomość bez entuzjazmu. Miałam założoną książeczkę mieszkaniową w Krakowie i nie zamierzałam z Kielcami wiązać się na dłużej. Należało szybko podjąć decyzję, więc pojechałam do Ostrołęki skonsultować się z rodzicami. Ojciec coś tam teoretyzował, lecz Mama podniesionym głosem, prawie krzycząc powiedziała: zejdź ty w końcu na ziemię, dają ci mieszkanie, a ty nie chcesz wziąć. To zabrzmiało jak rozkaz. Załatwiłam zatem niezbędne formalności i stałam się właścicielką dwupokojowego mieszkania na osiedlu „Uroczysko”. Mama nigdy nie chciała domku z ogródkiem. Uważała, że mieszkanie w tzw. „blokach” jest najlepsze z możliwych, dlatego z obrotu sprawy była wyraźnie zadowolona. Jak się później okazało, mieszkania te należały do ostatnich, które kielecka WSP mogła rozdysponować wśród swoich pracowników. Niebawem przyszedł czas prywatyzacji i zaczął rządzić wolny rynek.

Osiedla w tym czasie powstawały szybko, lecz oddawano je w złym, a nierzadko w bardzo złym stanie. Wychodzono z założenia, że ludzie wezmą wszystko, więc nie ma powodu szczególnie się starać. Mój „blok” na pierwszy rzut oka wyglądał imponująco, lecz gdy weszłam do środka i obejrzałam go bardziej szczegółowo, cała radość prysła. Wszystko było nowe i jednocześnie wszystko do wymiany, nawet ściany. Nie musiałam mierzyć, by wiedzieć, że ścianka prowadząca do małego pokoju jest, co najmniej kilka centymetrów przesunięta i to nie w prostej linii, lecz na skos. Powiedziałam robotnikom, co na ten temat myślę, lecz nikogo to nie interesowało. Fachowcy uważali, że zrobili swoje, a jeżeli coś komuś nie odpowiada, to wyłącznie jego sprawa. Gdy wyszłam na zewnątrz jeden z robotników wyrzwał przez okno z mieszkania znajdującego się *vis a vis* mojego i rozpromieniony krzyknął: proszę pani tutaj też są krzywe ściany. Zrobił to chyba w dobrej wierze myśląc, że mnie tym ułagodzi. Po kilku interwencjach wyrównano mi jakoś krzywizny i powoli mieszkanie

doprowadzałam do porządku. Malowanie ścian, wymiana podłogi (płytki PCV trzeba było zerwać), meblowanie — ze wszystkim były problemy, gdyż w prosty sposób, czyli w sklepie, nic nie można było kupić. Kupowanie zastąpiono „załatwianiem” — ktoś, komuś, gdzieś, przez znajomego, spod lady załatwiał wersalkę, pralkę, telewizor. Pralkę np. wystalam w tzw. „społecznej” kolejce, gdzie co parę godzin należało przyjść i odznaczyć swoją obecność. Stałam na tyle długo, że zdążyłam w tym czasie przeczytać *Krytykę władzy sądzienia* I. Kanta. Lodówkę przywiózł mi z Warszawy młodszy brat — Andrzej. Kupił ją z kredytu dla młodych małżeństw. Był tuż po ślubie i miał taką możliwość, a że mieszkał u teściowej lodówka nie była mu potrzebna. Z produktami mniejszej wagi było nie mniej kłopotu, np. z kawą. To był czas, gdy w sytuacjach towarzyskich herbatę coraz częściej zastępowano kawą. Jedno i drugie było trudno kupić, ale kawę trudniej. Stopień trudności towarzyszący nabyciu tych produktów wzmagał smak i aromat, a filiżanka świeżo zaparzonej kawy „Selekt” czyiniła z sytuacji zwykłej — odświętną. To też była wartość i to niebagatelna. Nigdy później nie piłam tak aromatycznej kawy, jak wtedy. Pewnie była podobna do obecnej, lecz smakowała inaczej.

W „bloku” gdzie mieszkalam, pierwszą klatkę zajmowali pracownicy WSP, drugą — Politechniki Świętokrzyskiej. Nie trzeba było przedstawiać się, zaznajamiać, oswajać, gdyż byliśmy dla siebie rozpoznawalni. Na moim dziewiątym piętrze, obok mieszkała koleżanka z Filologii Rosyjskiej, natomiast po drugiej stronie małżeństwo z dwójką dzieci. Ona pracowała w Instytucie Pedagogiki, on natomiast grał w zespole muzycznym. Często słyszałam, że wraca nad ranem, lecz to było dobre małżeństwo, jedno z nielicznych tam mieszkających, które funkcjonowało przez lata w trwałym związku. Trudności związane z urządzeniem mieszkania zbliżały sąsiadów. Doradzaliśmy sobie nawzajem w drobnych sprawach — jak wyremontować łazienkę, gdzie znaleźć materiały i fachowców, by w końcu zamieszkać w normalnych warunkach. Praca na Uczelni i ciągle kłopoty z urządzeniem mieszkania

wymagały tzw. „odreagowania”, chwil relaksu, bez których nie ma normalności. Dostarczały je rozmowy w zaprzyjaźnionym gronie, najczęściej przy kawie. Na szóstym piętrze mieszkała Henia Długosz, pracująca w Instytucie Pedagogiki psycholożka. Początkowo miałyśmy się wymieniając uprzejmie — dzień dobry, później były krótkie rozmowy, z czasem na tyle częste, że można było to nazwać zaprzyjaźnieniem. Henia była ślązacczka, szóstą córką w rodzinie. Jej ojciec oczekiwał syna — Henryka, lecz urodziła się córka, której w tej sytuacji rodzice dali na imię Henia. Ubolewała nad swoim imieniem, zupełnie nie wiem dlaczego, gdyż jest bardzo ładne. Wypiłyśmy niezliczoną ilość kaw i „przegadałyśmy”, jak to się mówi, trudną do policzenia liczbę godzin. Rozmowa z Henią była czystą przyjemnością. Potrafiła jak nikt inny słuchać, stwarzała taką atmosferę, że nawet ja, która w końcu nie jestem gadatliwa, w jej obecności mówiłam niemalże na okrągło. Psychologii nie można się nauczyć, można zdobyć pewną wiedzę, ale psychologiem albo się jest albo nie — taki dar boży. Henia była znakomitą psycholożką, wtedy już doktorem psychologii. Odnosiłam wrażenie, że ma w sobie jakiś aparat do prześwietlania ludzi, który jej nigdy nie zawodził. Potrafiła wnikliwie obserwować, bezbłędnie oceniać i jednocześnie nie wartościować. Pogodzenie tego zdaje się być nie możliwe, ale ona umiała. „Człowiek mnie nie zachwyca” powiedział kiedyś klasyk, ją chyba też nie zachwycał, ale ciekawił, nie tylko w sensie zawodowym. Miała w sobie jakąś wzruszającą delikatność. Nigdy w jej relacjach o innych nie było kpiny, ironii, sarkazmu, zawsze zrozumienie i życzliwość. Kiedyś przyszłam do niej z prośbą, by pomogła mi „rozpracować” w sensie psychologicznym, kolegę z pracy. Popatrzyła na mnie z przerażeniem w oczach i powiedziała: Ja się nie znam na ludziach, tylko na psychologii. Doskonale znała się na ludziach, ale taka właśnie była. Mówię o niej w czasie przeszłym, gdyż pewnego razu zdarzył się tragiczny wypadek. Jechała z mężem samochodem, kilka tygodni wcześniej kupioną Toyotą Yaris. Prawdopodobnie niewłaściwy manewr, niepotrzeb-

na zmianę pasa ruchu. Mężowi, który siedział za kierownicą udało się przeżyć, Heni — nie. Paweł (tak ma na imię jej mąż) jest doskonałym kierowcą i nie on spowodował ten wypadek, ale teraz nie ma to już znaczenia. Na Uniwersytecie w Kielcach długo nie było kierunku o nazwie Psychologia, dzisiaj już jest. Z racji prowadzonych wykładów bywam tam dość często. Zawsze, gdy jestem, niejako bezwiednie przypominam sobie Henię i trudno mi się wówczas opędzić przed oczywistym, lecz przecież nie banalnym stwierdzeniem, że życie jest kruche.

Instytut Nauk Społecznych, gdzie w tym czasie pracowałam, był placówką usługową dla całej uczelni. Składał się z trzech zakładów: Filozofii, Ekonomii oraz Nauk Politycznych. Na marginesie warto dodać, choć sprawa marginalną nie jest, że socjologii nie traktowano wówczas w Kielcach jako odrębnej dyscypliny naukowej. Uznano, że zawiera się w marksizmie, tj. w materializmie historycznym i to wystarczy. Do tej pory nie utworzono tu socjologii jako niezależnego Zakładu, nie mówiąc o Instytucie, co fatalnie wpływa na poziom nauczania. Studenci politologii np. są w stanie wymienić instytucje unijne, ale powiedzieć czym jest naród lub scharakteryzować grupy społeczne, z tym jest o wiele gorzej.

W Krakowie brak przynależności partyjnej nie był dla mnie problemem. W Kielcach już tak, i to problemem numer jeden. Przypominam sobie czas, gdy w połowie lat siedemdziesiątych wprowadzono poprawkę do konstytucji, dokładniej zapis o trwałym sojuszu PRL ze Związkiem Radzieckim. Przyszłam na Grodzką oddać fragment pracy doktorskiej, gdy mój promotor podając mi rękę powiedział: witam panią tak serdecznie jak poprawkę do konstytucji. W Krakowie o przodującej roli PZPR można było dworować, w Kielcach nie. Tu nieraz niewinny incydent, przypadkowa sytuacja, jeżeli miała cokolwiek wspólnego z polityką, mogła urosnąć do rangi problemu. Kiedyś w wyborach do Sejmu poszłam głosować późno wieczorem, gdyż remontowałam mieszkanie. Spotkałam na osiedlu sekretarza partii „instytutowej”, który rozmawiał ze mną normalnie, lecz następnego dnia w pra-

cy tak naświetlił tę sytuację, że musiałam długo zapewniać o swoim prawidłowym stosunku do ustroju socjalistycznego. Na Uczelni było wówczas wielu tajnych współpracowników, którzy donosili do Urzędu Bezpieczeństwa. W Instytucie, gdzie pracowałam prawdopodobnie też byli lecz o tym nie wiedziałam. Później już z perspektywy czasu, gdy analizowałam pewne sytuacje zaczęłam się domyślać, ale bez żadnej pewności. Dzisiaj na bazie tamtej instytucji powstał Wydział Prawa, Administracji i Zarządzania z Instytutem Bezpieczeństwa i Spraw Międzynarodowych. Jego matecznik należałoby nazwać Instytutem Niebezpieczeństwa i Wiecznych Nieporozumień. Ciągłe ktoś z kimś prowadził spory (niestety, nie filozoficzne), wojenki o nic, doszło nawet do procesu sądowego, ale nastąpiła amnestia i sprawę umorzono.

Kiedyś na uczelni, takiej jak kielecka, liczyła się głównie przynależność partyjna, dzisiaj koterie towarzyskie, jakieś trudno uchwytnie układy. Najbardziej cenione są znajomości z lokalną władzą, której przedstawiciele chętnie są tu zatrudniani, szybko również uzyskują stopnie naukowe. Książki pisze się przede wszystkim na stopień — doktora, profesora, także, by umocnić swoją pozycję w strukturach władzy, np. dyrektora instytutu. Pisanie bez takiej motywacji zdarza się rzadko i na ogół budzi zdziwienie. Nie są ważne dobre recenzje, nawet renomowane wydawnictwa, tylko punkty — rzekomo obiektywny miernik pracy naukowej. Dopiero funkcja, czyli dobre usytuowanie w hierarchii władzy, coś naprawdę znaczy. Z tej perspektywy, jakby powiedział klasyk dopiero widać „wyższość” i „niższość”⁷, a satysfakcję daje tylko „wyższość”.

Pozwoliłam sobie, w formie dygresji, na krótki powrót do teraźniejszości, ale wracam już do przeszłości, czyli początków mojej pracy w kieleckim Instytucie Nauk Społecznych.

Życie na cenzurowanym jest nie do zniesienia, szuka się wówczas jakiejś enklawy wolności, gdzie można swobodnie myśleć, mówić nie obawiając się, że na zebraniu instytutowym usiadłam

⁷ Są to sformułowania Witolda Gombrowicza.

koło niewłaściwej osoby, a w rozmowie przypadkiem wymieniałam nazwisko źle widzianego autora. Takim miejscem były spotkania u Marii Szyszkowskiej, która miała problemy, chyba ideologiczne, na Uniwersytecie Warszawskim i jako rodzaj „zsyłki” zaproponowano jej pracę w Kielcach. Gdy ja podjęłam pracę w Międzywydziałowym Instytucie Nauk Społeczno-Politycznych, Maria pracowała w tym Instytucie w Zakładzie Filozofii już od kilku lat. Oficjalnie zwracano się do niej — Pani docent, nieoficjalnie zaś, co najwyraźniej wołała i niektórym na to pozwalała, po prostu — Mario. Była wówczas na uczelni kieleckiej chyba jedyną osobą posiadającą stopień naukowy doktora habilitowanego bez tytułu profesorskiego. Uzyskała go dopiero w roku 1989, gdy jej praca w Kielcach dobiegała końca.

Pierwsze spotkanie z Marią pamiętam jakby przez mgłę. Chyba nawet nikt nas sobie nie przedstawił. Siedziałam z boku i przysłuchiwałam się rozmowie, którą prowadziła z sekretarką. Nie potrafię dzisiaj tej rozmowy zrekonstruować, pamiętam jedynie, że słuchając Marii pomyślałam — ma miły głos. Niewiele w tym czasie o Marii wiedziałam. Przyjeżdżała z Warszawy i szybko biegła na Wydział Pedagogiczny, gdzie prowadziła zajęcia z historii filozofii. Pracowałyśmy w Instytucie Międzywydziałowym obsługującym całą uczelnię, dlatego nie rozumiałam z jakiego powodu wykladała tylko na Wydziale Pedagogicznym. Zapytałam o to kierownika Zakładu, który pytanie uznał za niestosowne, ale mimo wszystko zdecydował się na nie odpowiedzieć. Stwierdził, że Pani docent „zatrudniona jest na szczególnych zasadach”. Jako osoba bezpartyjna, ideologicznie niepewna oraz związana z prywatną, katolicką uczelnią (stopień dr. hab. uzyskała na KUL-u) ze studentami zajęć prowadzić właściwie nie powinna. Mimo to rektor Edmund Staszyński wykazał dużo zrozumienia i zdecydował się Panią Szyszkowską zatrudnić. Swoją zgodę obwarował jednak pewnymi zakazami — może prowadzić jedynie historię filozofii do Hegla włącznie (na Wydziale Pedagogicznym), nie powinna mieć seminarium, a zatem także magistrantów, nie powinna rów-

niez zajmować kierowniczych stanowisk. Uczelnia kielecka dysponowała wówczas bardzo skromną kadrą. Nie tylko doktorzy, lecz również pracownicy z tytułem magistra byli kierownikami zakładu i prowadzili wykłady, Maria natomiast miała przeważającą ilość ćwiczeń, na których robiła chyba dużo sprawdzianów, gdyż często widziałam ją z plikiem kartkówek w ręku.

Instytut Nauk Społecznych (w tym czasie znajdował się na ul. Świerczewskiego) nie był liczny. Spotykaliśmy się dość często, głównie w godzinach obowiązującego wszystkich dyżuru. Maria była rodzajem magnesu, przyciągała ludzi i zachęcała do rozmowy. Wytwarzała klimat, który dawał poczucie bezpieczeństwa i sprzyjał szczerości. Musiał jednak upłynąć pewien czas, abym zrozumiała, że na pełną szczerość mogę sobie pozwolić jedynie na wieczornych spotkaniach u Marii. W Instytucie należało bardzo starannie selekcjonować to, co się mówi. W jednej z rozmów np. powołałam się na artykuł Karola Irzykowskiego *Piła marksistyczna* (jak się nie trudno domyśleć — krytyczny wobec marksizmu), co po niedługim czasie sekretarz partii mi wypomniał, kaząc zastanowić się nad swoją postawą ideologiczną. Poprawność ideologiczna była wówczas warunkiem koniecznym zachowania pracy. Przypominam sobie rozmowę z Marią na jednym z pochodów pierwszomajowych. Przybiegła w ostatniej chwili, gdy pochod już ruszał, gorączkowo tłumacząc, że pociąg się spóźnił. Podczas marszu zapytałam — dlaczego przyjechała do Kielc, przecież równie dobrze mogła uczestniczyć w pochodzie warszawskim. Odpowiedziała, że skończyłoby się to najprawdopodobniej pójściem na tzw. „dywanik”, dlatego wołała nie ryzykować. Rozumiałam to, gdyż sama doświadczałam podobnych sytuacji.

Praca w Instytucie nie przebiegała bezkonfliktowo. Widać to było zwłaszcza na zebraniach. Ciągnęły się długo, mówiono dużo i na ogół niewiele z tego wynikało. Miały jednak swój koloryt, własną atmosferę, która sprawiła, że po latach ten, dla mnie niełatwy czas wspominam z sentymentem.

Pewnie nie pamiętałabym, że Maria do Kielc przyjeżdżała we wtorek, ale w tym właśnie dniu organizowała wieczorem w swoim mieszkaniu (najpierw na ulicy Śląskiej, później na Staf-fa) spotkania, które doskonale pamiętam. Uczestniczyli w nich nie tylko pracownicy Instytutu, czy szerzej — uczelni, lecz ludzie z różnych środowisk — artyści, dziennikarze, urzędnicy. Zazwyczaj było kilkanaście osób, lecz niekiedy liczba zwiększała się na tyle, że siedzieć można było jedynie na podłodze. Nikomu to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, czuliśmy się bardzo dobrze. Stół zawsze był czymś zastawiony, o co dbała nie tylko Maria, lecz także każdy z obecnych. Staraliśmy się przynosić ze sobą jakiś prowiant i to wystarczało. Gospodyni wieczoru zawsze pamiętała o zapaleniu „kadzidełek”, które w połączeniu z palącymi się świecami dawały niepowtarzalny zapach. Mimo upływu lat, także dzisiaj doskonale go pamiętam.

U Marii poznałam Grzegorza. Był absolwentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — zajmował się projektowaniem wnętrz a także malował. Jeden z jego obrazów, zatytułowany „Ziemia”, wisi na ścianie w moim warszawskim mieszkaniu. Był bardzo interesującym mężczyzną — przystojny, pewny siebie, inteligentny, łączył cechy „macho” z delikatnością i wrażliwością. Mógł bez przerwy rozmawiać o filozofii, właściwie oczekiwał, że będę mu robiła jakieś mini wykłady, ja natomiast tego unikałam. Filozofia była moim zawodem i nie chciałam jej „przedawkować”. Miał niski tembr głosu, nienaganne maniery i jakąś taką „czupurność”, przekorę, którą manifestował na każdym kroku. Dzięki niemu poznałam środowisko artystyczne Kielc, wielu poetów, malarzy, o których dzisiaj moi studenci piszą prace magisterskie i doktorskie. Kiedyś przyjechał mój starszy brat Stanisław, długo z Grzesiem rozmawiał, a potem mi powiedział: on jest bardziej inteligentny niż potrzeba. Związek z Grzegorzem był burzliwy i niełatwy, trwał dość długo, lecz nie zdecydowałam się go sformalizować. Upewnił mnie w przekonaniu, że mężczyzna nie powinien być zbyt skomplikowany — takiego spotkałam, ale nie od razu.

Zbliżał się stan wojenny lecz u Marii o polityce rozmawiało się niewiele. Być może dlatego, że zbyt dużo polityki było w miejscu pracy. Chcieliśmy się od niej trochę odseparować. Spotkania wyglądały różnie. Prowadzono poważne dyskusje np. o sztuce, ale też luźne, lekkie rozmowy. Bywało, że ktoś wyciągał szachy, lub karty. Grywano głównie w „wista”, gdyż — jak wiadomo — była to ulubiona gra Kanta, a Maria była kantystką. Nawet w najśmielszych myślach nikomu wówczas nie przyszłoby do głowy, że Maria może zostać dyrektorem, lecz tak się stało i to niedługo. Po zarejestrowaniu Związku Zawodowego Solidarność można było w Instytucie przeprowadzić wolne wybory. Po raz pierwszy pracownicy mogli sami zdecydować, kto będzie ich dyrektorem. Maria podjęła wezwanie i zdecydowała się kandydować. Miała wielu przeciwników, ale też wiele osób ją popierało, zwłaszcza młodzi, którzy chcieli zmian. Atmosfera była gorąca, emocje dochodziły zenitu. Spokojna była chyba tylko Maria, zachowywała się tak, jak gdyby nic się nie działo. Gdy tuż przed głosowaniem życzyłam jej wygranej — nic nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła. Później wszystko potoczyło się jak w kalejdoskopie — życzenia, gratulacje, kwiaty. Mieliśmy wybraną w wolnych wyborach (znaczną większością głosów) Panią Dyrektor. Szybko zmieniono wizytówkę na drzwiach gabinetu dyrektora, co w niemałe zakłopotanie wprawilo przybyłą ze Szwecji koleżankę Marii. „Zapisałaś się do partii” — zauważyła nie kryjąc oburzenia. Trzeba jej było długo tłumaczyć, że w Polsce dużo się zmieniło i można już być dyrektorem nie będąc członkiem partii. Słuchała z zainteresowaniem, lecz nie wiem czy w pełni udało się ją przekonać.

Maria podjęła obowiązki „szefowej” we wrześniu 1981 roku. Do pracy przystąpiła ze zdwojoną energią. Łatwo było zauważyć, że czuła się w nowej roli znakomicie. Jedną z pierwszych decyzji, którą podjęła było zorganizowanie konferencji. Zaplanowana została na dwa dni (15—16 grudnia) z licznymi referatami autorów reprezentujących najważniejsze ośrodki akademickie w kraju. Było już właściwie wszystko — jak to się mówi — „zapięte na ostatni

guzik”, gdy jeden ze stażystów, Rosjanin z Nowosybirska, powiedział — „po co wy się tak bardzo tą konferencją przejmujecie i tak do skutku nie dojdzie”. Nikt tych słów nie traktował poważnie, w tamtej sytuacji właściwie nic nie znaczyły. Nabrały znaczenia i zaczęły zastanawiać dopiero później. 13 grudnia ogłoszony został stan wojenny. Instytut zamknięto, a w styczniu, gdy po świętach wróciliśmy do pracy oznajmiono nam, że mamy nowego dyrektora. O tym okresie niewiele już mogę powiedzieć, gdyż bez konsultacji, bez postawienia konkretnych zarzutów wezwano mnie do działu kadr i wręczono wypowiedzenie z pracy. Gdy poprosiłam o uzasadnienie powiedziano mi, że nie mają zwyczaju tego robić. To była typowa komunistyczna arogancja, która nie minęła wraz z ustrojem, lecz pozostała i ciągle ma się dobrze. Poprosiłam o rozmowę z Rektorem. Przyjął mnie uprzejmie i powiedział: jest pani młodą osobą z doktoratem obronionym na dobrej uczelni (doktoraty kieleckie najczęściej uzyskiwane były w Moskwie lub w Kijowie), co się stało? Odpowiedziałam, że to ja chciałabym wiedzieć, co się stało i mam nadzieję, że mi powie. On tylko się uśmiechnął, odebrał telefon i oświadczył, że już jest spóźniony na jakieś ważne spotkanie. To, że przyjął mnie uprzejmie nie mając zamiaru niczego wyjaśniać to wbrew pozorom dużo. Obecny rektor rozmawia tylko z wybranymi, a na jakiej zasadzie wybiera, trudno powiedzieć. Gdybym ja odmówiła studentowi wyjaśnień, o które prosi, poczytane byłoby to za arogancję, rektor natomiast może sobie na to pozwolić, taki rodzaj „samodzierżawia” z pełnym przyzwoleniem, gdyż nikt się nie buntuje.

Ze znalezieniem nowej pracy nie miałam większych kłopotów. Pojechałam do Częstochowy i zostałam przyjęta do Międzywydziałowego Instytutu Nauk Społecznych, który znajdował się początkowo na Politechnice, później na WSP. Dyrektor Instytutu zapewnił mnie, że wszystko będzie w porządku, bylebym tylko w niedzielę o dwunastej w południe nie chodziła na Jasną Górę na mszę świętą. Zapewniłam go, że będę o tym pamiętała.

Komuniści i Jasna Góra

Sądziłam, że praca w Instytucie Nauk Społecznych w Kielcach tak mnie zahartowała, że nic już nie zrobi na mnie wrażenia, a jednak. Na pierwszym zebraniu w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Społecznych w Częstochowie jeden z pracowników zaczął swoją wypowiedź od słów: my starzy bolszewicy. Żeby chociaż komuniści — pomyślałam sobie — ale bolszewicy? Można byłoby tego typu sytuację potraktować jak polityczny kabaret, ale widocznie opuściło mnie poczucie humoru, gdyż wcale mi nie było do śmiechu. Wkrótce jednak okazało się, że jest lepiej niż przypuszczałam. Ważną rolę, jak wiadomo, spełnia najbliższe otoczenie, czyli — w tym wypadku — ludzie z Zakładu Filozofii, a oni byli fantastyczni. Nie ma w tym określeniu cienia przesady — tacy właśnie byli. Młodzi, bez obciążeń ideologicznych, z dyplomami polskich uczelni, co miało znaczenie i to nie małe, gdyż w tym czasie przedmioty społeczne studiowało się w Moskwie albo w Kijowie. Zrozumiałe, że kierownik musiał dbać o ideologiczny wizerunek Zakładu, lecz było normalnie. Nikt się nie bał, że usiadł na złym miejscu, przy niewłaściwej osobie i powiedział nie to co trzeba. Było swobodnie i — jak to się mówi — bezstresowo, ale nie zawsze. Przypominam sobie sytuację gdy spotkaliśmy się wszyscy mniej oficjalnie, z okazji imienin (nie pamiętam już kogo) i ja zaczęłam relacjonować audycję usłyszaną w Radiu Wolna Europa. Jeden z kolegów zaczął rozpaczliwie machać rękami i dawać mi jakieś znaki. Dopiero

po pewnym czasie zorientowałam się o co chodzi, ale nikt z tego nie zrobił problemu. Szef miał dużo wyczucia, mógł coś uszczypliwego powiedzieć, nawet zadrwić, ale był lojalny i gdy zachodziła potrzeba zawsze swoich pracowników bronił. Miał dobry zespół. To było dość dawno i nie wszystkich dobrze pamiętam, lecz niektórych nie sposób byłoby zapomnieć. Adaś Olech był absolwentem Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znałam go jeszcze ze studiów. Wiedział chyba wszystko o szkole lwowsko-warszawskiej, a o Kazimierzu Ajdukiewiczu na pewno. Miał ujmujący sposób bycia, z nikogo nie drwił, nie wyśmiewał, wykazywał dużo dobrej woli i maksimum zrozumienia dla wszystkich, z którymi się kontaktował. Można powiedzieć, że był żywą wizytówką zasady powszechnej życzliwości. Oddziaływał na ludzi wyłącznie dobrze. Lubiłam z nim rozmawiać, gdyż zawsze po takiej rozmowie przybywało mi energii i ochoty do życia. Mieszkałam, jak wszyscy, którzy dojeżdżali z innych miast lub oczekiwali na mieszkanie, w Hotelu Asystenckim na ulicy Aleksandra Zawadzkiego (dzisiaj aleja Armii Krajowej). Przyjeżdżałam raz na dwa tygodnie i miałam wtedy bardzo dużo zajęć. W Hotelu mieszkał Rysiek Mischczyński z bardzo ładną żoną. Był pracownikiem naszego Zakładu — filozofem i jednocześnie matematykiem, oba kierunki studiował i ukończył na Uniwersytecie Łódzkim. Jego żona, absolwentka etnografii, pracowała w częstochowskim muzeum. Gdy przyjeżdżałam z Kielc często zachodziłam do nich na herbatę. Tworzyli bardzo udany związek i jak wielu mieszkających w tym hotelu, oczekiwali na własne mieszkanie. Początkowo mieli wątpliwości, czy rzeczywiście z tym miastem związać się na stałe, lecz ostatecznie tak zrobili. Mischczyński był człowiekiem o wyjątkowej inteligencji i spostrzegawczości, miał wyobraźnię i potrafił precyzyjnie myśleć. Doradzałam mu, żeby zaczął pisać dramaty w konwencji Mrożka, gdyż nikt lepiej od niego, spośród ludzi, których wówczas znałam, nie potrafił dostrzec życia od strony absurdu i groteski. Nie umknął jego uwadze żaden fałsz, fasada, „przyprawianie sobie gęby”. Miał w oczach

jakiś rentgen, który wszystko prześwietlał zgodnie z ustalonym przez niego kryterium prawdy i fałszu. A robił to w taki sposób, że ja nigdy chyba tak szczerze nie śmiałam się, jak wtedy, na herbatce u Miszczyńskich. Nie było w tym złośliwości, chęci naigrywania się, lecz jedynie zwrócenie uwagi na pewne nieprawidłowości, na to, że nie wszystko jest takie jak być powinno. Nieraz „wpadał” na herbatkę Władek, starszy od nas socjolog, który dojeżdżał z Katowic. Miał w sobie potrzebę ładu i harmonii, dlatego unikał konfliktów i starał się tworzyć miłą atmosferę. Władka nie można było nie lubić, ale to nie znaczy, że należało zgadzać się ze wszystkim, co mówił. Był w dużym stopniu uformowany przez materializm historyczny Marksa. Przypominam sobie dyskusję, jaką prowadził z Ryszardem na temat Boga w filozofii Kanta. W jakimś momencie, wyraźnie znużony spuwentował: przecież już dawno zostało naukowo udowodnione, że Boga nie ma. Miszczyński był tak zaszokowany, że przyznał mu rację. Socjolożką była także Krysia. Mimo, że pochodziła z Katowic była dla mnie symbolem ówczesnej Częstochowy. Tę analogię dostrzegałam w jej rozdarciu wewnętrznym — z jednej strony wierność partii, z drugiej Kościołowi. Staczała boje sama ze sobą nie wiedząc, jak to pogodzić. Stosowała jakieś karkołomne argumenty, by ostatecznie dojść do wniosku, że życie jest skomplikowane i nie ma sensu, jak to ujęła, „po próźnicy trzaskać dziobem”. Tego chłopaka słabo pamiętam, jak przez mgłę. Rzadko z nim rozmawiałam, gdyż wytwarzał dystans, a ja nie miałam ochoty go skracać. Po cichu, na boku mówiono o nim ideologiczny „beton”, gdyż nawet Platona wykladał w oparciu o komentarze Lenina. Był jak gdyby skrojony na miarę tego Instytutu. Mógłby stanowić jego wizytówkę. Jeżeli pozwalaliśmy sobie pod jego adresem na uszczypliwości, to poza Instytutem, na jakimś neutralnym gruncie, gdyż powszechnie uważano, że robi wielką karierę, będzie dyrektorem, a może i rektorem. Niewykluczone, że tak byłoby, lecz czasy się zmieniły, wprowadzono nowy ustrój i kariera naszego kolegi prysła jak bańka mydlana.

Częstą praktyką wówczas było wysyłanie nas na staże do ZSRR, żeby zgłębiać tzw. „diamat” (materializm dialektyczny) oraz „histmat” (materializm historyczny), dlatego ze zrozumieniem przyjmowaliśmy fakt, że w ramach wymiany pracownicy stamtąd przyjeżdżali do Polski. Nie zdziwiło nas zatem, że kolejny rok akademicki rozpoczęliśmy razem z Lonią. Przyjechał z Witebska i szybko poczuł się jak u siebie w domu. Był pilnym pracownikiem, nie opuścił żadnego zebrania, ani dyżuru. Mówił dość dobrze po polsku i łatwo nawiązywał kontakty. Początkowo przyglądał nam się uważnie i nic więcej nie robił, później zaczął coś zapisywać. Potrafił notować nawet kilka godzin, tyle, ile trwało zebranie. To nie była dla nas komfortowa sytuacja, ale trzeba się było do niej przyzwyczaić.

W moim kieleckim mieszkaniu brakowało jeszcze wielu rzeczy, zwłaszcza drobiazgów: obrazów, kilimów, makat. Postanowiłam pójść aleją prowadzącą w stronę Jasnej Góry, z nadzieją, że może coś odpowiedniego kupię. Trafiłam na wystawę młodej malarki, która sprzedawała swoje obrazy. Kupiłam jeden z nich. Malowana na olejno, oprawiona w piękne drewniane ramy, postać Matki Boskiej. Pomyślałam — Mama będzie zachwycona i przestanie mnie męczyć, żebym przewoziła obrazy z Ostrołęki. Malarka robiła wrażenie trochę rozwichrzonej, stwierdziła, że nie ma w co zapakować, więc wzięłam obraz w rękę i poszłam w stronę hotelu. Tuż przed wejściem spotkałam Lonię. Zainteresował się obrazem, oglądał go ze wszystkich stron, chwalił wykonanie, lecz z faktu, że jestem jego właścicielką najwyraźniej nie był zadowolony. Zawsze lubił dużo mówić i szybko od rozmówcy nie odchodził, tak było i tym razem. Zapytał o zajęcia i o temat ostatniego wykładu. Pewnie trochę z przekory, gdyż ten temat miałam wcześniej, powiedziałam — dowody na istnienie Boga św. Tomasa. Popatrzył na mnie badawczo i odpowiedział — nic w tym złego, byleby każdy z dowodów poddała pani rzetelnej krytyce. Nie miałam ochoty stwarzać problemów, więc zapewniłam go, że o krytyce nie zapomnę. Na marginesie, w ramach wyjaśnień,

należy dodać, że prowadziliśmy wykłady głównie z marksizmu, lecz można było w niewielkim stopniu wprowadzić jakieś elementy z historii filozofii.

Przez pewien czas prowadziłam koło naukowe, gdzie między innymi prezentowane były najważniejsze religie świata. Spotkania cieszyły się dużym zainteresowaniem, studenci chętnie w nich uczestniczyli. Plastycy z WSP przygotowywali plakaty, niektóre z nich bez obawy można było nazwać małymi dziełami sztuki. Szczególnie utkwił mi w pamięci plakat poświęcony chrześcijaństwu — pięknie wykonany ale, jak się okazało, nie wszyscy chcieli to zauważyć. Wywieszony w Instytucie Nauk Społecznych wywołał wiele nieporozumień i spowodował dużo zamieszania. Jego głównym elementem był krzyż namalowany w pewnej perspektywie, tak, by na pierwszym planie umieścić nazwisko prelegenta. Był nim student IV roku, chyba Wychowania Muzycznego, który nazywał się tak samo jak paulin z Jasnej Góry. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że zapraszam na zebrania koła naukowego zakonników z Jasnej Góry, co uznano za niewybaczalny błąd. Zaledwie przyjechałam do Kielc i przyszłam do domu, nie zdążyłam jeszcze się rozebrać, gdy zadzwonił telefon. Sekretarka nie kryjąc zdenerwowania powiedziała, że następnego dnia, z samego rana mam jechać do Częstochowy, żeby przed dyrektorem wytłumaczyć się z tej niefortunnej sytuacji. Próbowałam dyrektorowi wyjaśnić, że to przypadkowa zbieżność nazwisk, a ja nie znam żadnego paulina z Jasnej Góry, ale był tak wzburzony, że niewiele do niego docierało.

Kielce z Częstochową były wówczas źle skomunikowane. Pociągi, wyłącznie osobowe, zatrzymywały się na każdej stacji, co wydłużało czas jazdy. Jeździłam na ogół o tej samej porze, dlatego po pewnym czasie zaczęłam rozpoznawać ludzi, nawet wiedziałam, kto, na jakiej stacji wsiądzie lub wysiądzie. To był grudzień 1984 roku, gdy nieoczekiwanie do pociągu wsiadła grupa młodzieży żywo komentujących włoszczowski strajk w obronie krzyży — próbę powieszenia przez ich kolegów z Zespołu Szkół

Zawodowych krzyży bez zgody władz. Dyrekcja podjęła decyzję o bezterminowym zawieszeniu zajęć i wezwała protestujących do opuszczenia budynku szkolnego, czego nie zrobili. Sprawa szybko przestała być lokalną i wybuchł skandal na całą Polskę. Po latach umieszczono tablicę upamiętniającą włoszczowski strajk w obronie krzyży, a prezydent Lech Kaczyński przyznał uczestnikom tamtych wydarzeń wysokie odznaczenia państwowe⁸. Zaskoczyły mnie te odznaczenia, pomyślałam wówczas — kiedy przyjdzie taki czas, że państwo doceni i nagrodzi walczących o szkołę neutralną światopoglądowo, bez nacisków zewnętrznych, jakiegokolwiek by one były — religijne, ideologiczne, obyczajowe. Bo najważniejsza jest samodzielność, zwłaszcza mentalna, dlatego w takim duchu należy edukować oraz wychowywać.

Jazda pociągiem sprzyja nawiązywaniu rozmów. Ludzie wiedzą, że rozmówca jest anonimowy, a sytuacja jednorazowa, dlatego nierzadko zwierają się ze spraw, których nie powiedzieliby najbliższym. Często dla tych osób jest to jedyna okazja uwolnienia się od nadmiaru kłopotów i stresów. To były bardzo pouczające i wzbogacające rozmowy. Po prostu wchłaniałam, zawsze ciekawe, a niekiedy fascynujące życiorysy. Usłyszałam ich tyle, że z pewnością wystarczyłoby materiału na powieść, ale tego typu twórczość mnie nie pociągała. Na polonistyce wszyscy pisali wiersze, więc i ja spróbowałam, lecz zmęczyło mnie to tak bardzo, że już drugi raz takiej próby nie podjęłam. Dzisiaj, coraz częściej myślę o napisaniu powieści, lecz mam w tej kwestii tyle samo chęci, co wątpliwości. Czas pokaże czy to mrzonki, czy coś realnego. Realny jest natomiast fakt, że w 2020 roku przyjęta zostałam do Związku Literatów Polskich. Z niedowierzaniem oglądałam legitymację członkowską, gdyż nie mogłam uwierzyć, że jest moja. To mi pozwoliło myśleć, że może moje książki mają jakieś walory literackie. Po tej dygresji wracam do głównego nurtu rozważań.

⁸ Tablicę pamiątkową umieszczono w 10 rocznicę wydarzeń, natomiast prezydent Lech Kaczyński przyznał odznaczenia w ich 25. rocznicę, czyli 2009 roku.

O tych, którzy dojeżdżają do pracy pociągiem mówi się w slangu akademickim „na szynach”. Sytuacja „na szynach” ma swoje dobre i złe strony. Złe, gdyż dojazdy zawsze są uciążliwe, dobre, ponieważ po przyjeździe do Kielc mogłam poczuć się anonimowo i zupełnie wyizolować z życia akademickiego. Gdy szłam ulicą Sienkiewicza (główną w Kielcach) dużo mniej osób mówiło mi „dzień dobry” i czułam się z tym dobrze. Sugerowano mi, abym zamieniła mieszkanie i przeniosła się do Częstochowy, ale nigdy poważnie o tym nie pomyślałam. Kielce nie były miastem, które sobie wybrałam, znalazłam się tam przypadkowo i miałam nadzieję, że na krótko, ale szybko je polubiłam. Położone na wzgórzu, otoczone górami i Puszcą Jodłową posiadają swoisty klimat, atmosferę, w której dobrze się czuję. Szczególnie dużo uroku ma kielecka starówka. Wąskie, kręte uliczki, zabytkowe kamienice i długi deptak, czyli ulica Sienkiewicza nazywana „Sienkiewką”.

Podobno najważniejsze jest pierwsze wrażenie, głównie, dlatego, że można je mieć tylko raz. Częstochowa wywarła na mnie trudne do opisanie wrażenie. Było ono zbitką przeżyć, które dostarcza Jasna Góra z ideologią komunistyczną, będącą w tym mieście przedmiotem szczególnej troski. To chyba ta atmosfera sprawiała, że, mimo iż wszystko układało się w jak najlepszym porządku, postanowiłam zrezygnować z pracy w Częstochowie i ponownie starać się o zatrudnienie na kieleckim WSP. Nie bez znaczenia były również dojazdy, które stawały się coraz bardziej uciążliwe.

Sytuacja sprzyjała zmianom. Zniesiono stan wojenny, który do dziś kojarzony jest z widokiem pustych sklepów, octem na półkach i kilometrowymi kolejkami w czasie ostrej zimy przełomu lat 1981—82. Następował powolny proces liberalizacji systemu komunistycznego, który w ZSRR określany był mianem pierestrojki. Na kieleckim WSP także zaszły zmiany — nowe władze rozpatrywały ciągle jakieś postulaty studentów i pracowników, wprowadzenie, których miało usprawnić funkcjonowanie Uczelni. Złośliwi twierdzili, że to są „pustolaty”, które rozpatrywano

tylko po to, by potwierdzić dobrze znaną prawdę, że trzeba wiele zmienić, by nie zmienić nic. Ten ogólny ferment sprawił, że bez problemów, z pominięciem zbędnych rozmów i wyjaśnień, ponownie zatrudniona zostałam w Instytucie Nauk Społecznych kieleckiej WSP. Na pierwszym zebraniu Dyrektor stwierdził, że nie musi mnie przedstawiać, gdyż pracuję w Instytucie od dawna, i tylko *qui pro quo* sprawiło, że przez jakiś czas mnie tu nie było. To *qui pro quo* dobrze zapamiętałam, ot takie sobie niewinne nieporozumienie. Czas niekiedy pracuje tylko na wspomnienia. Jeszcze przed zapadnięciem decyzji o przejściu do Kielc przyznano mi półroczny staż na białoruskim Uniwersytecie w Mińsku. Kielce wyjazd zaakceptowały, dlatego zajęcia rozpoczęłam dopiero od semestru letniego. Ten wyjazd był w pewnym sensie koniecznością, gdyż ktoś musiał jechać. Zastosowano formę szantażu — jeżeli nikt się nie zgłosi do Mińska, to inne staże też będą zablokowane. Zaczęłam wyliczać za i przeciw pobytu w białoruskiej stolicy i właściwie nie dostrzegłam żadnego „przeciw”. Główny cel tj. zgłębianie „diamatu” i „histmatu”, mnie nie interesował ale wszystko, co było wokół niego przyciągało moją uwagę i to bardzo. Przede wszystkim ludzie, cały przekrój ówczesnego Związku Radzieckiego. Bardzo szybko przypominałam sobie swój rosyjski i chętnie rozmawiałam. To było dużo ciekawsze niż chodzenie na zajęcia. Wybrałam seminarium z estetyki sądząc, że nie będzie aż tak bardzo zideologizowane, ale myliłam się — wszystko było nasycone ideologią, także teoria sztuki. W Polsce w tym czasie marksizm był w defensywie, studenci na wykładach słysząc o materializmie historycznym, ostentacyjnie odkładali pióra, by pokazać swoje niezadowolenie. Powiedziałam kiedyś o tym jednemu z białoruskich profesorów, który z pewnym zakłopotaniem odrzekł — coś takiego, a jeszcze niedawno teksty Marksa czytało się w ukryciu, z latarką w ręku. Nikomu wówczas nie przyszłoby do głowy, a tym bardziej białoruskim profesorom, że oparty na doktrynie marksistowskiej najlepszy z ustrojów niebawem przejdzie do lamusa historii. W Polsce stało się to dość szybko — po wyborach czerw-

cowych 1989 roku. Przez prawie czterdzieści lat próbowano na siłę propagować marksizm i nic z tego nie wyszło, a właściwie wyszła — jedna, wielka i wcale nie piękna katastrofa.

Ta część wspomnień dotyczy Częstochowy (wyjazd od Mińska białoruskiego był tylko krótkim epizodem), zakończę ją zatem przywołaniem dwóch, późniejszych moich pobytów w Częstochowie, związanych z udziałem w konferencjach naukowych. Pierwszy z nich miał miejsce pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Pojechałam na zaproszenie Akademii Polonijnej z referatem najprawdopodobniej (już dokładnie nie pamiętam) dotyczącym związków etyki z polityką. Zapamiętałam natomiast doskonale okazały budynek uczelni z godłem oraz pięknie brzmiącą dewizą: *Sapientia Aedificavit Sibi Domum* (Mądrość wybudowała sobie dom). Na konferencji po raz ostatni widziałam prof. Stefana Folarona, specjalistę od filozofii renesansu, z którym wcześniej pracowałam na WSP. Zamieniłam z nim kilka słów, dosłownie w biegu, gdyż bardzo się spieszył. Wkrótce dotarła do mnie wiadomość, że nie żyje. Odszedł w stosunkowo młodym wieku, w pełni sił.

Zapewne związki uczelni z Jasną Górą sprawiły, że dla uczestników konferencji odprawiono mszę św., pozwalając usiąść bardzo blisko obrazu Matki Boskiej, za barierką, która wydawała się dla zwykłych ludzi nieprzekraczalna. Pomyślałam wówczas - szkoda, że obok mnie, albo zamiast mnie, nie siedzi tu moja Mama - byłaby szczęśliwa.

Ostatni raz byłam w Częstochowie stosunkowo niedawno, na zaproszenie koleżanki Wiesi Sajdek, będącej jedną z organizatorek konferencji, tym razem na Akademii Jana Długosza — spadkobierczyni WSP. Odwiedzenie miejsc i spotkanie kolegów, z którymi dawniej pracowałam było dużym przeżyciem. Trochę się spóźniłam i dotarłam na rozpoczęty już referat Adasia Olecha. Niewiele się zmienił, jak zwykle mówił w sposób elegancki, dyskretnie się uśmiechając i był chyba jeszcze bardziej logiczny niż kiedyś. Miszczyński wpadł, usiadł na parę minut, zlustrował

wszystkich badawczym wzrokiem, wymienił kilka uwag i stwierdził, że musi „lecieć” na zajęcia, ale wróci. Swoje wystąpienie na temat polskiej filozofii narodowej miałam w jednej z sekcji po południu. Było jeszcze sporo czasu, więc usiadłam na korytarzu próbując przypomnieć sobie o czym mam mówić. Nieoczekiwanie usiadła obok mnie studentka i widząc, że jestem uczestniczką konferencji podjęła rozmowę. Opowiadała o sobie, o studiach, zwłaszcza o pracy licencjackiej, którą aktualnie pisze. Praca dotyczyła poglądów rumuńskiego filozofa Emila Ciorana. Z przejściem tłumaczyła mi, że gdy tak jak Cioran zaneguje się: prawdę, Boga, historię, więzi, które nas łączą z innymi, to tracimy wszystko co stanowiło do tej pory dla nas oparcie. Pomyślałam sobie — filozofowie to mają problemy, a w moim Instytucie studenci na okrągło albo o strukturach Unii Europejskiej albo o samorządzie gminnym.

Jeszcze raz Kielce — Janek

Przyszłego męża spotkałam w sposób przypadkowy. Podobno na przypadek trzeba sobie zasłużyć. Może więc sobie zasłużyłam. Była połowa lat dziewięćdziesiątych, późne, letnie popołudnie. Szłam z koleżanką ulicą Rewolucji Październikowej (dzisiaj Warszawską), gdy ona niespodziewanie zaproponowała, żeby wstąpić do kawiarni. Specjalnie nie wybierałyśmy, weszłyśmy do tej, która była najbliżej. W głębi sali, przy stoliku siedział mężczyzna — ciemne, krótko podcięte włosy, opalony, w ręku papieros, obok filiżanka z kawą. Na tle jasnego ubrania, zwłaszcza białej koszuli, jego opalenizna szczególnie zwracała uwagę. Gdy przechodziłam koło jego stolika przemknęło mi przez głowę — gdzie on się tak opalił? Był dopiero początek lata. Pytanie w mojej głowie tak szybko zniknęło, jak się pojawiło. Potem okazało się, że opalenizna była wynikiem nie polskiego, lecz hiszpańskiego słońca, pobytu w Madrycie skąd na krótki czas przyjechał do rodzinnych Kielc. Usiadłyśmy w głębi sali, zamówiłyśmy coś do picia, ja wyjęłam z torebki zapalniczkę oraz papierosy „Zefiry”, które sporadycznie wówczas paliłam i zaczęłyśmy rozmowę. O niczym ważnym, jakieś wrażenia z pracy, informacje o zrobionych zakupach, plany na wakacje. W pewnym momencie podszedł mężczyzna w białej koszuli i poprosił o zapalniczkę. Gdy zapalił papierosa i odszedł, zapytałam koleżankę: podoba Ci się ten facet? Odpowiedziała, że ma swojego i na innych nie zwraca uwagi. Niebawem okazało się, że z tym facetem przyszło mi przeżyć następ-

nich dwadzieścia lat. Sprawy potoczyły się szybko. Zaczęła grać muzyka i na parkiecie przybywało coraz więcej tańczących par. Pan podszedł jeszcze raz i poprosił mnie do tańca. Musiałam dość długo nie wracać do stolika, gdyż w jakimś momencie pojawiła się koło mnie koleżanka i powiedziała — wychodzę, baw się dobrze. Bawiłam się rzeczywiście dobrze. Mój partner miał na imię Janek. Dowiedziałam się od niego, że zabrakło biletów na samolot, dlatego jest tutaj, gdyby nie zwlekał do ostatniej chwili i kupił bilety wcześniej byłby już w Madrycie, gdzie mieszka razem z synem. Pozostał w Kielcach jeszcze pięć dni. Przed odjazdem poprosił o mój numer telefonu, który mu dałam nie spodziewając się, że zadzwoni. Ale dzwonił i to regularnie, były także listy. Po kilku miesiącach zdecydował się ponownie przyjechać do Polski. Potem już wyjechaliśmy oboje. Nie do Madrytu, lecz do Zakopanego gdzie zapadła decyzja o małżeństwie. Fakt, że Janek pracował, jak to się mówi, w „branży technicznej” i nie był nauczycielem akademickim, a tym bardziej filozofem, stanowił dla mnie jego atut. Nie chciałam mieć w domu klubu dyskusyjnego, choć dyskusje były i to częste. Rano rytualna kawa i niezmiennie pytanie: a co dzisiaj na obiad? Bardzo lubiłam tę poranną kawę. Ułożyłam sobie nawet krótki wierszyk: „najmilsza chwila poranka, to kawa od Pana Janka”. Nie było problemu kto zrobi obiad, jakoś instynktownie wiedzieliśmy czym kto ma się zająć. Nieraz zdarzało mi się wywrócić ułożony rano porządek dnia, krótkim: „idziemy do knajpy”. Był niezadowolony, że tak późno mu o tym mówię, ale przyjmował zmiany ze zrozumieniem. Dobrze gotował, zwłaszcza doskonale przyrządzał pieczyście. Przygotowywał je zazwyczaj w sobotę, stawiając już gotowe na stole, obok wina, ewentualnie drinków, w robieniu, których też był specjalistą. Nieraz któreś z nas wyciągało z szafy jakieś świece lub kadzidełka — drobiazgi, które — jak by powiedziała moja znakomita koleżanka — pozwalają „świętować codzienność”⁹. To nie było mał-

⁹ Mowa o Marii Szyszkowskiej i jej „filozofii codzienności”.

zeństwo idealne, bez kłótni i nieporozumień. Przy naszych temperamentach i dość silnych charakterach, zdarzały się i to nieraz takie, że „wióry leciały”, ale było wyjątkowo stabilne, nigdy nie zaistniała sytuacja, żeby wisiało na włosku, po prostu, dobrze się rozumieliśmy. Zbudowaliśmy nasz związek na zaufaniu i szczerości, ja wiedziałam i on wiedział, że będziemy ze sobą do końca. Kiedyś koleżanka powiedziała mi — wiesz, mnie wszystko w moim mężu denerwuje, nawet to, w jaki sposób otwiera drzwi. Mnie natomiast nic w moim mężu nie denerwowało — gdy rozwiązywał krzyżówki, układał pasjanse, coś mówił lub nic nie mówił. Nigdy nie byłam jego obecnością znudzona, nie chciałam bez niego wyjeżdżać. Jeździłam z nim, jeżeli było to możliwe, nawet na konferencje, gdzie najpierw wygłaszałam referat, a potem „urywałam się”, by wspólnie pospacerować. Miał w sobie jakąś niewyuczoną mądrość. Zaczęłam mu kiedyś przy obiedzie wyklądać teorię „powszechnej życzliwości” Czesława Znamierowskiego, popatrzył na mnie ze zdziwieniem i powiedział — to takie oczywiste, po co do tego teoria. W wielu sytuacjach, gdy ja izolowałam się (introwertyzm odziedziczyłam po Mamie) i z trudem przychodziło mi nawiązać kontakt z otoczeniem, on robił to błyskawicznie, tak od niechcienia, z właściwym sobie urokiem osobistym. Gdy nie było go obok mnie, gdzieś wyszedł, myślałam zniecierpliwiona — gdzie on jest, niech w końcu wróci. Czułam się przy nim bezpieczna i jak to się mówi, zaopiekowana. Mimo całej swojej energii i radości życia jestem osobą nieśmiałą. Właściwie całe moje życie to pokonywanie nieśmiałości. Z pozoru wygląda to inaczej, ale tak właśnie jest.

Janek miał umiejętność szybkiego oglądu sytuacji, w której się znalazł. Gdy przyjeżdżaliśmy do jakiejś nowej miejscowości, na pewien czas znikał, a gdy wracał, wiedział, gdzie jest supermarket, jaki film grają, gdzie warto iść na kolację lub potańczyć. Posiadał jeszcze jedną umiejętność, w której był bezkonkurencyjny — doskonale tańczył. Gdziekolwiek wyjeżdżaliśmy — wczas, prywatne pobyty, zawsze wieczorami chodziliśmy na tańce.

To stało się nawykiem i nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. On zazwyczaj zamawiał piwo, ja lampkę wina. Muzyka mogła być najprostsza, nie byliśmy wybredni. Nie każda melodia zachęcała do pójścia na parkiet, ale gdy grali: „żono moja, serce moje, nie ma takich jak my dwoje”, wiadomo było, że Janek na pewno zatańczy. To był ważny okres w moim życiu, może najważniejszy — obroniłam pracę habilitacyjną, dużo publikowałam, uczestniczyłam w wielu konferencjach. Janka wkład w to był oczywisty. Bez jego zachęty z pewnością nie miałabym tyle determinacji i wiary w siebie. Ale nie o sukcesach zawodowych zamierzam tutaj pisać. Drobne, by nie powiedzieć błahe sytuacje, wydają mi się ciekawsze. Np. to, że kupiliśmy najpierw bordowe „Tico”, później granatową „Toyotę Corollę”, co nam pozwoliło zwiedzić kielecczynę i nie tylko. Bardzo lubiłam wyjazdy do małych, podkieleckich miejscowości, takich jak Pińczów czy Bodzentyn. Mają w sobie niepowtarzalny urok prowincji. Rynek na ogół w kształcie prostokąta, gdzie zazwyczaj na ławeczkach siedzą matki z dziećmi oraz oczekujący jakichkolwiek wrażeń emeryci. Wokół kilka kamieniczek, w mniejszej lub większej odległości Kościół, jakieś sklepy i zazwyczaj restauracja, z białymi obrusami, śledzikiem z cebulką oraz czystą zamawianą przez stałych klientów setka po setce. Kilka razy w roku jeździliśmy do zaprzyjaźnionej rodziny w okolice Włoszczowej. Był tam stary niewykorzystany młyn, gdyż mielenie mąki w tym czasie było nieopłacalne. Sporadycznie ktoś przyjeżdżał coś zemleć na własny użytek. Przeważnie byliśmy tam kilka dni. Gospodarze zawsze na śniadanie podawali żurek z własnej, razowej mąki. Początkowo nie umiałam się przyzwyczaić, nigdy na śniadanie nie jadłam zupy, nawet mlecznej, lecz później polubiłam to danie i wprowadziłam do własnej kuchni. Nie ulega wątpliwości, że najlepszy żurek można zjeść w kieleckim.

To są piękne okolice, gęsty las, obok staw, gdzie można łowić ryby i mnóstwo ścieżek zachęcających do spacerowania. Jedna z takich ścieżek zaprowadziła nas kiedyś do żeremi bobrów. Cho-

dząc tymi drózkami często sobie nuciłam „och kieleckie, jakie cudne...”. Kielecczyzna to rzeczywiście piękny region: Kadzielnia, Karczówka, Jaskinia Raj i przede wszystkim Łysica (614 m n.p.m.), najwyższy szczyt Gór Świętokrzyskich. Droga na Łysicę prowadzi przez Puszcę Jodłową, pięknie opisaną w powieściach Żeromskiego. Byłam tam kilkakrotnie, a ponownie zdecydowałam się, gdy odwiedziła nas moja siostra. Pojechalśmy samochodem do św. Katarzyny — miejsca, z którego najwygodniej rozpocząć wspinaczkę na szczyt. Janek został na dole, poszliśmy na Łysicę we dwie. To był powszedni dzień, niezbyt wielu turystów. Droga na szczyt prowadzi lasem przez kładki, mostki, porozrzucane kamienie, nabierając wysokości nieznacznie. Dopiero pod koniec zaczyna ostro piąć się w górę roztaczając przed sobą słynne „gołoborze”, tj. kamienie, gruz — pozostałości po dawnych rumowiskach skalnych. Wbrew pozorom na Łysicę wcale nie jest łatwo wejść, zejść łatwiej, pod warunkiem, że nie zawiedzie pogoda. W naszym przypadku pogoda wyraźnie się załamała, nadciągała burza i zaczął padać deszcz. Na taką sytuację nie byliśmy przygotowani. Ja bałam się i tego nie ukrywałam, Anka nic nie mówiła, ale bała się nie mniej niż ja, a najbardziej chyba Janek, który został na dole i nie wiedział, co się z nami dzieje. Ostatecznie burza przeszła bokiem i wszystko skończyło się dobrze, ale ja od tamtej pory na Łysicy już nie byłam i pewnie nie pójdę. Nastroje zregenerowaliśmy szybko i to na tyle, że pojechalśmy jeszcze do Zagnańska, żeby obejrzeć „Bartka” — tysiącletni dąb, przepiękne drzewo, które urzeka swoim majestatem i zdumiewa ciągle jeszcze dobrą kondycją. Bardzo je lubię i jeżeli mogę, jadę do Zagnańska, by posiedzieć na ławeczce w jego cieniu. W Kielcach również mam swoje miejsca, które chętnie odwiedzam. Zawsze dużą przyjemność sprawia mi spacer „Sienkiewką”. Na tej ulicy jest, można powiedzieć, wszystko: mnóstwo sklepów, restauracji, barów, które zazwyczaj mijam, by skręcić w ulicę Wesołą i zatrzymać się w kawiarni „Pod kawką”. Nazwa sugeruje co najmniej trzy znaczenia — kawę, która jest tam znakomita, wymalowanego przy wejściu niewielkiego,

czarnego ptaka, którego zawsze trudno mi było odróżnić od wrony oraz Franza Kafkę, znanego pisarza, który patronuje temu miejscu. Po wejściu do środka można sobie odświeżyć wiedzę o autorze *Procesu*, przypomnieć inne jego utwory zgromadzone na tzw. „etażerze” stojącej tuż przy kaflowym piecu. Jest tam także wiele innych akcesoriów, które nadają miejscu niepowtarzalną atmosferę: dekoracyjne parawany, robione na szydełku obrusy, kuchenne makatki z sentencją np. taką: „każda żona tym się chlubi, że to robi, co mąż lubi”, albo „miłość i zgoda, domu ozdoba”. Przypomina mi to trochę dzieciństwo, gdy wracając ze szkoły zachodziłam do koleżanki, u której nad kuchnią takie właśnie makatki wisiały.

W tym czasie dość regularnie odwiedzaliśmy rodziców w Ostrołęce. Teściowie już niestety nie żyli. W łaski mojej Mamy nie było łatwo się wkupić, dlatego podziwiałam z jaką zręcznością zrobił to Janek. Tak od niechcienia coś powiedział, uśmiechnął się, w czymś pomógł i to wystarczyło, by Mama traktowała go jak syna. Lubił czytać książki, które Mama przynosiła z ostrołęckiej biblioteki. Robił to szybko, jak to się mówi, „połykał”, a potem rozpoczynał na ich temat dyskusję, najczęściej z Mamą. Przysłuchiwałam się nieraz ich rozmowom gdy oglądali telewizję. Tata najczęściej spał, gdyż będąc człowiekiem „rannym” wcześniej wstawał, a ja byłam w drugim pokoju na ogół czymś zajęta. Ale słyszałam jak rozmawiali: komentowali filmy, wydarzenia polityczne, programy publicystyczne. Robili to, można powiedzieć, fachowo. Widać było, że wiedzą, o czym mówią, nie powtarzają przypadkowo usłyszanych informacji, lecz mają własne zdanie. Zdumiewała mnie Mamy znajomość polityki, bo Janka od tej strony znałam. Ojciec im był starszy, tym więcej opowiadał o tym, co wydarzyło się dawniej. W Janku znalazł wdzięcznego słuchacza. Chodzili nieraz, choć rzadko, na piwo do znajdującego się za nowym mostem zajazdu „Pod Dębami”. Tata był zachwycony. Kiedyś po powrocie, na moje „jak było” powiedział: „tego mi właśnie brakowało”. Janek również, chociaż także trochę przerażony, gdyż wracając Tata przechodził przez ulicę jak chciał, nie

zważając na jakiegokolwiek przepisy. Zapewne piwo dało mu takie poczucie wolności.

W tym czasie po raz pierwszy poczułam stabilizację zawodową, nie musiałam obawiać się czy w następnym roku umowa zostanie mi przedłużona. Praca na uczelni ma, jak wiadomo, charakter kontraktowy, podlega ciągłej weryfikacji, która pozwala, bądź nie, przedłużyć umowę. Zdecydowaliśmy się również zamienić mieszkanie na większe. Z ulicy Orkana przeprowadziliśmy się na Meissnera, na osiedle Pod Dalią. Trochę z tym było zamieszania, ale większy metraż dawał większą przestrzeń życiową. Płynęły dni, miesiące i lata zwykłego życia, w którym, gdy patrzę na nie z perspektywy czasu, nic bym nie zmieniła. Ale życie nie jest wieczne, jak powiedział klasyk: „wyrok dany, tylko termin niepodany”¹⁰. Ten termin w przypadku Janka przyszedł o wiele za szybko. Był zaledwie kilka lat ode mnie starszy. Śmierć najbliższych, gdyż własnej nie możemy doświadczyć, jest huraganem przeżyć druzgocących, osławianiem się z chłodem i ciemnością, czyli z czymś, czego się owoić nie da. Nic dziwnego, że wywołuje protest, który ostatecznie wyraża tylko naszą bezradność. Janek wiele mi mówił, ale tego dowiedziałam się od syna. Kiedyś nieoczekiwanie, jadąc samochodem, Grzesiek napomknął — Ojciec powiedział, że był z tobą szczęśliwy. Niby drobiazg, ale dobrze, że powiedział.

¹⁰ Są to słowa Williama Shakespeare.



Od prawej Stanisław Wiśniewski, Anna Patejuk, Lucyna i Jan



Lucyna i Jan



Jan Rutkowski



Jan Rutkowski



Jan Rutkowski

Zrozumieć, jak się rzeczy mają

Powiedzieć — jestem filozofem, to pewnego rodzaju odważa, gdyż nie wiadomo, z jaką reakcją otoczenia można się spotkać. W różnych ankietach, czy rozmowach z przypadkowo spotkanymi ludźmi, kiedy już koniecznie wypada określić swoje zajęcie, podaję „polonista” albo „nauczyciel akademicki”. Informacja, że mają do czynienia z filozofem przyjmowana jest na ogół z lekkim niedowierzaniem, często z zaniepokojeniem, w każdym razie z reakcją, której wołałabym uniknąć. Z pewnością więcej uznania zobaczyłabym w twarzy rozmówcy gdybym powiedziała, że jestem doradcą finansowym albo pracownikiem giełdy frankfurckiej, ale nie jestem. Kiedyś, jeszcze w czasach krakowskich, byłam z kolegą — filozofem na pocztce. Urzędniczka w okienku zapytała: pański zawód? Odpowiedział — filozof. Zapytała jeszcze raz — odpowiedział tak samo. W końcu z irytacją stwierdziła, że jest kolejka, nie ma czasu na żarty, a w formularzu, który ma przed sobą musi wpisać wykonywany zawód. I tym razem powiedział: „filozof”. Nie odpowiedziała, napisała tylko — na utrzymaniu rodziny. Filozof, w rozumieniu potocznym, to określenie prawie obraźliwe. Oznacza, paradoksalnie, kogoś kto nie potrafi żyć, a na pewno zarobić na życie. Przypuszczam, że poeta budzi podobne skojarzenia ale mimo wszystko filozof jest w lepszej sytuacji, bo może uzupełnić swoją profesję jakimś tytułem naukowym, np. prof. dr hab., a to brzmi już dużo poważniej.

Filozofia traktowana jest przez wielu z pewną rezerwą, nieufnie, ale słyszy się o niej na każdym kroku. Powstają wciąż nowe dyscypliny, które mają ten wyraz w swojej nazwie, np. „filozofia rządzenia” czy „filozofia marketingu”. Bardzo często termin ten służy jako swoistego rodzaju nobilitacja niektórych dziedzin życia. Mówi się np. o „filozofii mody” czy „filozofii odżywiania”. Mógłby ktoś powiedzieć, że wśród spraw przykuwających uwagę filozofów nie ma ani jednej, o której nie wypowiedziałby się kompetentnie nie-filozof. Być może tak jest, lecz filozof mówi trochę inaczej, swoim językiem i z własnej perspektywy. Zdaniem Leszka Kołakowskiego filozof, zwłaszcza w kwestiach etycznych, wie nie więcej niż przeciętnie inteligentny człowiek, z tym, że gdy dla przeciętnego człowieka są to sprawy oczywiste, filozof dochodzi do nich krętymi drogami, poprzez dręczące go wątpliwości. Świat, cokolwiek byśmy o nim pomyśleli, zatrwąza ogromem i naszą wobec niego bezsilnością. Oczywistego świata nie ma, można przeczytać ale to nic nie zmieni. Wiedzą o tym doskonale filozofowie i poeci. Czesław Miłosz wykładając literaturę słowiańską na kalifornijskim Uniwersytecie w Berkeley, zorganizował seminarium z „rzeczywistości”. Zapewne dlatego, że wymyka się ona jak piskorz, wiemy czym jest i jednocześnie nie wiemy.

Filozofia wymaga umysłów otwartych, niepoddających się schematom i stereotypom. Można ją uprawiać w dwojaki sposób: jako historyk filozofii, porządkując oraz interpretując myśli innych lub też, jako twórca własnego systemu (koncepcji) filozoficznej. Własny nie znaczy tu jednostkowy, prywatny lecz w jakimś sensie uniwersalny, akceptowany przez liczną — trudno bliżej określić jaką — grupę ludzi. Współczesne wysiłki w dziedzinie filozofii zmierzają w dużej mierze w kierunku odtwarzania wielkich systemów filozoficznych z przeszłości, ich tłumaczenia i komentowania, tylko nieliczni zastępują myślenie historyczne żywą myślą filozoficzną. Chcą prezentować swój program badawczy, system wartości oraz nowe spojrzenie na życie. Tworzenie własnej filozofii jest w równym stopniu pociągające co nie-

bezpieczne. Pociągające, gdyż perspektywa bycia twórcą zawsze taką jest, niebezpieczne, ponieważ łatwo tu o banał, megalomanię, wyważanie otwartych drzwi. Współcześni polscy filozofowie swoje koncepcje autorskie na ogół określają jakimś obcym słowem, np. „recentywizm”¹¹ czy „anatelizm”¹², co ma im dodać dostojności i znaczenia. Ważne jest jednak, co się pod tymi słowami kryje. Ujmując rzecz skrótowo, bez różnicowania poszczególnych stanowisk, można powiedzieć, że eksponuje się w nich życie w terażniejszości, „tu i teraz” w perspektywie wartości wyższych, które pozwalają wyrosnąć poza dom rodzinny i piąć się w górę. Waloryzacja codzienności, jej „świętowanie” czy też — mówiąc inaczej — przeżywanie w perspektywie celów wyższych, przekraczających horyzont tzw. „małej stabilizacji”, czyli spokojnego życia w dobrych warunkach materialnych, to bez wątpienia ważne wskazanie dla współczesnego człowieka, ale nie nowe i nie dla wszystkich. Nie każdy musi koniecznie dbać o własny rozwój, lecz filozofowie na ogół nie chcą o tym słyszeć. Mówią, że ważne jest „tu i teraz”, ale nie schodzą z poziomu tego, co być powinno. Już Platon twierdził, że obowiązkiem człowieka jest przekraczać siebie, tzn. być lepszym niż się aktualnie jest, a Epikur przekonywał, że tylko terażniejszość jest prawdziwa i rzeczywista — ona stanowi czas realny, w niej przebiega nasze życie. Nie trzeba jednak sięgać tak daleko, tj. do początków filozofii greckiej. Podobne przemyślenia można znaleźć w myśli polskiej, np. u J. M. Hoene-Wrońskiego, w propagowanej przez niego idei „autokreacji”. Dobrze byłoby o tym pamiętać konstruując własne, autorskie koncepcje filozofii, gdyż mogą okazać się wyważaniem otwartych drzwi. Pokora nie jest najmocniejszą stroną filozofów, chcą być wyjątkowi i niepowtarzalni, ale powiedzieć w tej dziedzinie coś własnego, nowego, nie jest łatwo. Podobno filozofia kończy się wtedy, gdy nie mówi już „coś”, lecz

¹¹ Określenie Józefa Bańki.

¹² Określenie Andrzeja Zachariasza.

tylko „o czymś”. Historyk filozofii na tle twórców propozycji autorskich jawi się skromnie, jako pewnego rodzaju wyrobnik, który „karmi się” myślą innych, niewiele mając od siebie do powiedzenia. Ale, mimo wszystko, wiedza historyczno-filozoficzna oznacza dysponowanie pewną władzą, siłą, która jakkolwiek nieznaczna, wpływa jednak na ogólną sytuację. Odwoływanie się do niej nie daje odpowiedzi na żadne z pytań dotyczących współczesności ale im bardziej rzeczywistość jest chaotyczna i zagmatwana, tym większej wagi nabiera udział badań historyczno-filozoficznych w jej wyjaśnianiu i porządkowaniu.

Gdy ktoś pyta mnie, czy posiadam własną filozofię, to zgodnie z prawdą odpowiadam, że nie — ani prywatnej, takiej wyłącznie mojej, ani bardziej uniwersalnej, podzielanej przez większą ilość ludzi. W dyplomie zapisane mam: historyk filozofii, lecz należałoby tę informację uściślić dodając przymiotnik „polskiej”. Wykłady prowadzę z filozofii europejskiej, lecz wszystkie moje ważniejsze publikacje dotyczą filozofii polskiej.

Kultura polska rozwijała się w sposób przemienny. Po okresach idealistycznych tęsknot, heroicznym czynów oraz wielkiej twórczości, następował czas „minimalizmu”, gdy starano się nie wykraczać poza świat faktów ceniąc głównie to, co konkretne i pożyteczne¹³. W czasach kulturowego maksymalizmu filozofia łączyła się najczęściej z literaturą (sztuką) i przybierała postać światopoglądu, natomiast w fazie „minimalistycznej” szukała powiązań z nauką przekształcając się w metanaukę. Wśród filozofów utarło się przekonanie, że poważne, warte uwagi i wysiłku badawczego zagadnienia dotyczą klasycznych kwestii bytu i poznania, inne, np. skupione wokół spraw światopoglądowych mają znaczenie drugoplanowe, i to na tyle, że można je nazywać parafilozoficznymi. Opinia ta wypowiedzana jest nie tylko przez myślicieli zachodnich lecz także polskich, mimo że to właśnie problemy światopoglądowe zade-

¹³ Zob. na ten temat: W. Tatarkiewicz: *Zarys dziejów filozofii w Polsce*, Kraków 1948.

cydowały o obliczu i kondycji naszej filozofii. Człowiek najprawdopodobniej nigdy nie zgłębi istoty świata, dlatego musi w coś wierzyć. Problem — w co? Filozofia nie może być tylko źródłem wiedzy opartej na faktach, ale powinna oferować wartości. Wielkie systemy filozoficzne mają moc kształtowania naszego obrazu świata, w tym tkwi ich siła. Filozofia polska była i jest uwikłana w sferę wartości bardziej niż w sferę faktów, dlatego można się nie obawiać, że jej rozwój będzie równoznaczny z dążeniem do wyeliminowania kwestii światopoglądowych. Z tego też powodu zawarta jest ona nie tylko w tekstach naukowych, lecz także intelektualnej poezji, dramatach, tekstach krytyczno-literackich, publicystyce. Dla polonisty, który chce wykorzystać swoją wiedzę z zakresu literatury, taki typ filozofowania zdaje się być najodpowiedniejszy, pozwala mu na pewną swobodę, o którą w tej dyscyplinie nie jest łatwo. Nie znaczy to, że inny sposób uprawiania filozofii jest poloniście niedostępny, znaczy tylko, że wymagałby dłuższego przygotowania, wiedzy, którą nie zdobywa się z dnia na dzień.

Lubiłam i lubię konferencje naukowe. Nie organizowałam ich, bo do tego nie miałam ani ochoty, ani talentu, lecz na ogół wygłaszałam referaty. Było ich sporo, na pewno kilkadziesiąt. Wygłaszanie tekstów konferencyjnych daje satysfakcję, gdy można to robić swobodnie, własnym językiem, mając świadomość, że się w pełni panuje nad przekazywaną treścią. Wbrew pozorom to wcale nie jest łatwe. W ciągu dość krótkiego czasu należy przedstawić problem jasno, dobrym językiem, tak, żeby nie z nudzić słuchających. Początkowo niewolniczo trzymałam się przygotowanego tekstu, lecz z biegiem czasu było coraz lepiej. Pisałam na kartce, najczęściej flamastrem, żeby rzucało się w oczy, główne punkty i to wystarczało. Swoboda wymaga przygotowania i dyscypliny, gdy się liczy tylko na doświadczenie i rutynę to oczywiście jakoś wyjdzie, ale trudno opędzić się przed myślą, że nie było tak, jak trzeba.

Życie jakie jest każdy widzi, dlatego nieraz, by jakoś się wzmocnić powtarzam bliskie mi sentencje. Chyba najczęściej słowa

Józefa Gołuchowskiego: „być silniejszym od nieszczęścia”, ale też przesłanie Seneki: „postępuj tak, jak gdyby każda wykonywana praca miała być ostatnią w twoim życiu”. Maksymę starożytnego mędrca przywołuję tylko po to, by się z nią nie zgodzić. Kto jest w stanie tak pracować? Formuła skrojona na miarę greckich bogów nie przeciętnego, czy nawet nieprzeciętnego człowieka. Praca jest w dużym stopniu koniecznością, trzeba pracować, by jakoś funkcjonować. Nieraz wygłoszenie wykładu sprawia mi dużą przyjemność, a nieraz patrzę na zegarek i myślę — kiedy to się skończy. Sprawdzanie prac licencjackich czy magisterskich też nie zawsze jest czystą przyjemnością. Kiedyś, gdy przyszedłam do Zakładu zdruzgotana poziomem oddanego mi przez studenta tekstu, koleżanka, jak to się mówi, „sprowadziła mnie do pionu” i podniesionym głosem zaczęła tłumaczyć: Opanuj się, przecież ty jesteś promotorką nie korektorką. Jest jednak taki obszar mojej pracy, który zawsze, niezależnie czy jestem zmęczona czy nie, traktuję ze śmiertelną powagą. To pisanie książek oraz szerzej — tekstów, także tych, które przygotowuję na konferencję. Wszystkie moje książki, a tylko monografie autorskie uznaję za publikacje (drobne artykuły traktuję jako dodatki, których nawet nie wprowadzam do statystyki) oparte są na tekstach parafilozoficznych. Na ostatniej stronie mają dość schematyczną, krótką informację o mnie. Zastanawiałam się, czy nie napisać czegoś innego np. że lubię czerwone wino i dobrą kawę, bo tak rzeczywiście jest, ale mi to odradzono, jako że nie licuje z powagą treści. Oto jedna z takich informacji zamieszczona w stosunkowo niedawno wydanej książce *Myśli i czyny. Henryk Kamieński — filozof i polityk*:

„Prof. dr hab. Lucyna Wiśniewska-Rutkowska ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim oraz filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zawodowo związana jest z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach. W pracy badawczej koncentruje się na polskiej myśli filozoficzno-kulturologicznej i społecznej. Chętnie podejmuje tematy z pogranicza filozofii i literatury oraz filozofii i polityki. Opublikowała wiele prac,

między innymi następujące książki autorskie: *Koncepcja człowieka w twórczości Karola Irzykowskiego* (2002); *Mesjanizm Jerzego Brauna. Myślenie w perspektywie Józefa M. Hoene-Wrońskiego* (2004); *Między przeszłością a teraźniejszością. Studia z pogranicza filozofii, polityki i sztuki* (2008); *Nie tylko o filozofii. Ludzie, idee, przemiany* (2010); *Dialog z tradycją — z dziejów polskiej myśli filozoficznej* (2014); *Myśli i czyny. Henryk Kamieński — filozof i polityk* (2017).

Prezentowana publikacja dotyczy Henryka Kamieńskiego (1813—1866) filozofa i polityka, przedstawiciela polskiej myśli demokratycznej połowy XIX wieku. Nigdy wcześniej i później filozofia w Polsce nie rozwijała się tak dynamicznie jak wówczas. Był w niej szacunek dla myśli spekulatywnej oraz pewien praktycyzm, szukanie potwierdzenia w działaniu. Kluczem Kamieńskiego do zaproponowanej przez niego filozofii twórczości było pojęcie czynu i wynikający z tego pragmatyzm. Należałoby dodać — w najlepszym tego słowa znaczeniu, gdyż „pragmatyczny” znaczyło „racjonalny, moralny i skuteczny w działaniu”. To była epoka ukierunkowana na czyn. Niepowodzenia w walce zbrojnej powodowały, że aby ich uniknąć starano się zgłębić istotę czynu, sformułować teorię, która usprawniłaby działanie i uchroniła przed kolejną klęską. Wiek XIX był dla Polski szczególnie trudny. Brak własnego państwa gwarantującego opiekę nad narodem zmuszał do nieustannego zmagania się z zaborcą i szukania sposobów na niepodległość. Kamieński w tej sytuacji zwykł mówić: „Im gorzej w kraju i trudniej w życiu, tym lepsze książki trzeba pisać”. I pisał, zostawiając po sobie cenną spuściznę, która nie uległa erozji czasu i wciąż jest interesująca zarówno dla badaczy, jak i dla czytelników¹⁴.

Po ukazaniu się monografii o Henryku Kamieńskim opublikowałam (także w Wydawnictwie Adama Marszałka w Toruniu)

¹⁴ L. Wiśniewska-Rutkowska, *Myśli i czyny. Henryk Kamieński - filozof i polityk*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017.

Zaczarowany rewolucją — rzecz o Edwardzie Dembowskim. Jak wynika ze wskazań zawartych w tytule, książka dotyczy Edwarda Dembowskiego — krytyka literackiego, filozofa, także działacza społecznego, przywódcy powstania krakowskiego z 1846 roku. Obie książki, o Kamińskim i Dembowskim, wiele ze sobą łączy, uzupełniają się nawzajem, właściwie mogłyby tworzyć jedną całość. Gdy próbuję sobie przypomnieć, co mnie skłoniło do ich napisania nasuwają mi się dwa powody. Zmęczenie, jakie odczuwałam zajmowaniem się przez dłuższy czas mesjanizmem oraz chęć powrotu do spraw związanych z literaturą lub też szerzej — estetyką. Mesjanizm jest światopoglądem uformowanym na podstawach religijnych. Dużo w nim metafizyki i różnego typu absolutów. Łatwo w tę problematykę wejść ale trudniej wyjść, dlatego gdy udało mi się z niej wyjść postanowiłam zająć się czymś zupełnie innym. Dembowski wydał mi się postacią odpowiednią. Nie miał nic wspólnego z mesjanizmem, był filozofem, sformułował interesującą koncepcję estetyczną, był także autorem *Piśmiennictwa polskiego w zarysie* — jednej z pierwszych w naszym kraju historii literatury. Nie od razu wybór padł na Dembowskiego, konkurencją dla „czerwonego kasztelanica” (tak nazywano Dembowskiego) był Stanisław Przybyszewski. Zawsze mnie ta postać fascynowała, lecz skończyło się na obszernej rozprawce zatytułowanej *Geniusz, czy szarlatan? O Stanisławie Przybyszewskim*, którą później włączyłam do książki *Między przeszłością a teraźniejszością. Studia z pogranicza filozofii, polityki i sztuki*. Gdy materiały do książki o Dembowskim miałam już zebrane i mogłam przystąpić do pisania, uznałam, że Henryk Kamiński w zestawieniu z Dembowskim jest ważniejszy i to na tyle, iż powinnam zacząć od Kamińskiego. Rozpoczęłam na nowo zbieranie materiałów, tym razem do książki o Kamińskim. Ostatecznie najpierw powstała monografia o Kamińskim, a dopiero po niej o Dembowskim.

Zamiast od początku, zaczęłam prezentację swoich prac od końca, będę zatem kontynuowała i zmierzała do początku. Książka *Mesjanizm Jerzego Brauna. Myślenie w perspektywie Jó-*

zefa M. Hoene-Wrońskiego była moją rozprawą habilitacyjną. Dotyczyła przede wszystkim mesjanizmu J. Brauna (1901—1975), czyli postaci współczesnej, lecz pisana była w perspektywie poglądów J. Marii Hoene-Wrońskiego, polskiego kantysty, reprezentującego filozofię czasów międzypowstaniowych. Zainteresowanie Wrońskim uświadomiło mi znaczenie polskiej myśli filozoficznej z połowy XIX wieku. Nigdy wcześniej i później filozofia w Polsce nie rozwijała się tak dynamicznie jak wtedy. Zawierała w sobie szacunek dla myśli spekulatywnej oraz pewien praktycyzm, szukanie potwierdzenia w działaniu. Była naprawdę imponująca. Czytanie tekstów autorów tamtych czasów sprawiało mi dużą przyjemność. Napisałam wówczas wiele rozpraw i szkiców poświęconych Augustowi Cieszkowskiemu, Karolowi Libeltowi, Bronisławowi Trentowskiemu, Józefowi Kremerowi. Zamieściłam je później w dwóch pracach — we wspomnianej już *Między przeszłością a teraźniejszością* oraz w *Nie tylko o filozofii — ludzie, idee, przemiany*. Obie traktowałam, jako wybór zagadnień z myśli polskiej, nie starając się ich przedstawiać według jakiegoś wyrazistego klucza, raczej w sposób swobodny, zgodnie z własnymi preferencjami. Zależało mi, by uwzględnić wszystkie okresy, niektóre choćby symbolicznie, np. Oświecenie w postaci tekstu, *Dlaczego warto czytać Stanisława Staszica?* Zamieściłam stosunkowo dużo tekstów z okresu Młodej Polski i Dwudziestolecia Międzywojennego, gdyż te epoki zawsze jakoś wyróżniałam. Książka *Nie tylko o filozofii* składa się z kilku części. Jedna z nich dotyczy filozofii polityki. Są tam artykuły i szkice na temat demokracji, globalizacji, tolerancji. W tym czasie pełniłam funkcję kierownika Zakładu Filozofii Polityki, dlatego teksty o takiej tematyce zdarzało mi się pisać coraz częściej. Były źródłem satysfakcji, gdy mogłam sama, bez złudzeń, powiedzieć, że są dobre, ale też koniecznością, gdyż zawodowo tym się wówczas zajmowałam.

Napisanie historii filozofii polskiej przez jedną osobę jest trudne. Myślałam o tym od dawna, lecz miałam wątpliwości, czy

jestem w stanie to zrobić. Gdybym jednak te wątpliwości pogłębiała, z pewnością nie byłabym w stanie. Ostatecznie udało mi się w 2014 roku wydać *Dialog z tradycją. Z dziejów polskiej myśli filozoficznej*. Nie mniej oceniać jej wartość, na pewno można byłoby to zrobić lepiej. Ja z tej książki jestem zadowolona, gdyż zrobiłam coś, co mnie nie tylko onieśmielało, lecz w jakimś sensie obezwładniało.

Doszłam w ten sposób do punktu wyjścia, czyli pierwszej wydanej przeze mnie książki. Była to napisana na bazie doktoratu praca o Karolu Irzykowskim. Nie wiem, dlaczego przygotowując ją do druku miałam tyle wątpliwości i oporów. Przełamał je mój mąż, zresztą nie tylko przy przygotowywaniu tej książki, za co jestem mu wdzięczna.

Między napisaniem *Dziewczyny z Ostrołęki*, a możliwością jej wydania upłynął pewien czas. W tzw. międzyczasie udało mi się opublikować (w Wydawnictwie Białostockim KAW) jeszcze jedną książkę: *Sprawy ważne i mniej ważne. Szkice i drobiazgi filozoficzne* (2019). Jest to zbiór esejów, szkiców, niewielkich objętościowo rozprawek inspirowanych doświadczanymi sytuacjami, spotkanymi ludźmi, także przeczytanymi lekturami. Ta publikacja różni się od poprzednich — jest bardziej osobista. Piszę o potrzebie życzliwości, znaczeniu przyjaźni, odnajdowaniu własnej drogi po to, by móc powiedzieć: To jest moja prawda.

Czytanie własnych książek nie sprawia mi przyjemności i raczej, jeżeli nie muszę, tego nie robię. Niektóre teksty nie podobają mi się, dzisiaj zmieniałabym je, poprawiałabym lub w ogóle bym je wyrzuciła, ale są i takie, iż nie mogę uwierzyć, że potrafiłam je napisać. Czytałam niedawno wywiad z młodym reżyserem, który dał Stanisławowi Różewiczowi do oceny scenariusz. Dotyczył chłopaka, który próbując ułożyć sobie życie borykał się z ciągłymi trudnościami. Różewicz zaakceptował scenariusz, lecz stwierdził, że brakuje w nim „latawca” i dodał, że każdy ma jakiegoś, swojego latawca. Być może książki, które napisałam to takie moje latawce.

Z pamiętnika mojej Mamy

W ostrołęckim magazynie „Kurpie” (nr 54/2014) opublikowany został fragment wspomnień mojej Mamy, które dają obraz ciekawego, barwnego, aczkolwiek czasami bardzo trudnego życia. Zamieszczam je tutaj w dosłownej, nie zmienionej postaci, lecz wyraźnie rozszerzone, uzupełnione o niepublikowane fragmenty rękopisu przechowywanego w zbiorach rodzinnych. Oto tekst:

„Te luźne myśli i uwagi zaczęłam pisać w dniu 27 stycznia 1982 roku. Nie będzie to mój życiorys, ale różne fragmenty z przeszłości, szczególnie moje myśli i refleksje. Jestem teraz na emeryturze, mam więcej czasu, wieczory w zimie są długie, a sen nie zawsze przychodzi. Chciałam zapisać niektóre moje myśli, którymi nie mam się z kim podzielić. Z natury jestem dosyć skryta. Nigdy nie opowiadałam swoich przeżyć matce ani ojcu, choć kocham ich i szanuję. Pochodzi to może stąd, że nie chcę im sprawiać i przyczyniać zmartwień swoimi kłopotami i przeżyciami. Wolę mówić z nimi o sprawach codziennych i zrozumiałych, pomóc w miarę potrzeby i nie mącić ich spokoju. Zresztą poglądy nasze na wiele spraw różnią się zasadniczo, co jest zrozumiałe, gdyż są to różnice między pokoleniami, a także różnice w wykształceniu, warunkach życia i pracy. Dlatego choć mamy wiele wspólnego, np. moi rodzice są głęboko religijni, ja także uważam siebie za osobę głęboko religijną, niektóre nasze poglądy nie są zbieżne. To jest naturalne i tak być musi. Różnimy się także w poglądach ideologicznych. Rodzice uważają obecny

ustrój¹⁵ za głęboko niesprawiedliwy, zapewne dlatego, że jako właściciele piętrowego domu doznali z tego powodu wiele przykrości, szczególnie w okresie stalinizmu. Budowa kamienicy trwała wiele lat, rozpoczęta została około 1930 r. Wymagała najwyższych wyrzeczeń ze strony całej rodziny, na której utrzymanie pracował tylko Ojciec, skromny sekretarz gminy wiejskiej. Warunków w jakich ja wychowywałam się trudno porównać z warunkami obecnymi, nawet w stanie wojennym, z jego ograniczeniami żywnościowymi. Dlatego czasami ogarniało mnie oburzenie, gdy słyszałam (w okresie od sierpnia 1980 do grudnia 1981) o protestach, marszach głodowych, a obserwacja życia codziennego świadczyła o czymś innym: o rozrzutności i marnotrawstwie żywności. W mojej rodzinie nigdy nie została zmarnowana najmniejsza kromka chleba. Tak byłam wychowana i tak starałam się wychować swoje dzieci.

Dom, który rodzice zbudowali wielkim wysiłkiem i skrajnymi wyrzeczeniami został wykończony w 1938 roku. Dokładnie na dwa miesiące przed wybuchem wojny (w 1939 r.) rodzice spłacili dług zaciągnięty na budowę domu. Na radość nie było czasu, gdyż bezpośrednio potem wybuchła wojna, nastąpiła okupacja i wszystkie z tym związane trudy oraz niebezpieczeństwa. Gdy wróciliśmy po wyzwoleniu, w 1945 roku, dom był bardzo zdeprawowany — uszkodzony dach, dziury w ścianach, brak okien i drzwi. Z niesłychanie skromnej pensji Ojca, który podjął pracę w Miejskiej Radzie Narodowej w Ostrołęce, trzeba było remontować i usuwać zniszczenia. Często brakowało nawet na suchy chleb. Kiedy najważniejsze zniszczenia zostały usunięte, przeważnie dzięki ciężkiej pracy Taty, nadszedł czas, kiedy każdy właściciel nieruchomości został uznany za „kamienicznika”, niby takiego kapitalistycznego „krwiopijcę”, który dorobił się z wyzysku ludzi pracy. Wprowadzono gospodarkę kwaterunkową. Lokatorów kwaterowano przymusowo nawet nie pytając o zgodę wła-

¹⁵ Mowa o ustroju socjalistycznym.

ściciela. Nic dziwnego, że dewastowali mieszkania i mieli wymagania. Gospodarz musiał sprzątać podwórko, ulicę, śmietnik, a zapłata za mieszkanie była symboliczna. Prawa mieli tzw. proletariusze, a ludzie styрани ciężką pracą całego życia, jeżeli dysponowali jakąś własnością, uznawani byli za wyzyskiwaczy. Moje siostry — Cecylia i Barbara, choć uczyły się dobrze nie mogły uzyskać stypendiów. Rodzice musieli odmawiać sobie wielu przyjemności, nigdy nie byli na wczasach, tylko raz wyjechali oboje do Częstochowy. Niedostępne były dla nich warunki życia codziennego, w jakich żyje obecnie przeciętna pracująca rodzina. Pogłębiające się trudności materialne, postępujący wiek oraz pogarszający się stan zdrowia zmusiły rodziców do sprzedania połowy domu. Nic dziwnego, że pozostało w nich wiele uzasadnionego żalu do powojennego ustroju. Byli rozgoryczeni, że po tak pracowitym życiu, w którym nie wyzyskali nikogo, swoje przeszłe lata muszą spędzać w skromnych warunkach, utrzymując się z niewielkiej emerytury Ojca. Ja pamiętam dobrze czasy kapitalistyczne w Polsce i staram się spojrzeć na nie bezstronnie. Nie wszystko było dobre w ustroju kapitalistycznym. Bieda na wsi, bezrobocie, brak rozwiniętego przemysłu, nierówności społeczne niespotykane obecnie. Nie wszystko było także dobre w ustroju socjalistycznym. Istniały poważne błędy i wypaczenia, czego przykładem jest los ludzi podobnych do moich rodziców. Błędy popełniono również w okresie gierkowskim, w latach siedemdziesiątych. Teoretycznie uczono nas, że w socjalizmie wszyscy są równi, gdyż wszyscy są ludźmi pracy, a władza jest w rękach ludu. Jak to wyglądało w praktyce, to każdy widział. Zapanował niesłychany snobizm. O ile w okresie powojennym ludzie zamożniejsi starali się ukrywać swoje dochody i chcieli uchodzić za uboższych, to w okresie gierkowskim, wręcz przeciwnie — demonstrowali swoje dobra. Polaków ogarnął szal bogacenia się, jakaś mania posiadania i wielkości. Rząd brał beztrzesko kredyty z Zachodu i nie umiał ich właściwie zużytkować. W przeważającej części zostały one zmarnotrawione i zaprzepaszczone. Ale jak mogło być ina-

czej, jeśli kto tylko mógł, wzorował się na sprawujących władzę prominentach. Żyli oni luksusowo w pięknych, nowoczesnych mieszkaniach, wznosili wille i dache wykorzystując swoje stanowiska dla czerpania korzyści materialnych. Biura i urzędy bardziej przypominały wnętrza pałaców niż miejsca urzędowania, nie mówiąc już o gmachach komitetów partyjnych. Przykładem może być „pałac” w Ostrołęce, czyli gmach Wojewódzkiego Komitetu PZPR, po wydarzeniach sierpniowych przeznaczony na siedzibę różnych instytucji. Gdziekolwiek weszło się do urzędu czy instytucji, i nie tylko do tych najważniejszych, wojewódzkich, ale i niższej rangi, także gminnych, można było obejrzeć dywany, franki, miękkie fotele, ciepłe ogrzane pomieszczenia — słowem przepych i pompa. Nierzadko marmurowe schody i ściany wyłożone boazerią, a w wielu zakładach przemysłowych robotnicy pracowali w ciężkich warunkach. Czyż na te przepychy i wygody nie poszła znaczna część zaciągniętych kredytów? Dopiero teraz okazało się ile rozpoczętych inwestycji trzeba było zatrzymać z braku funduszy. Jestem przekonana, że wiele potrzebnych inwestycji mogło być ukończonych i dobrze wykorzystanych, aby przynosiły dochód i umożliwiały spłacanie zaciągniętych kredytów, gdyby nie marnowano środków na luksusy, na które nie było nas stać. Wiele się dziś mówi o odpowiedzialności ekipy Gierka. Ma on i jego prominenci odpowiadać przed trybunałem, siedzi podobno w więzieniu i codziennie może wybrać się na półgodzinny, samotny spacer. Może to jest słuszne, gdyż każdy musi ponosić odpowiedzialność za swoje błędy, ale chyba to o wiele za mało. Winnych w Polsce było zdecydowanie więcej. Gierek miał przecież doradców, ekonomistów, teoretyków i praktyków, którzy przyklaskiwali i uzasadniali posunięcia władzy, aby sami przy okazji dobrze sobie nabić kabzę. Potem ci doradcy gwałtownie odmienili swoje poglądy i stali się doradcami Solidarności. Czego to się nie robi dla własnych korzyści, jak to się mówi, „pełnego żłobu”? Wydaje mi się, że zadziały też specjalne cechy charakteru Polaków. Dawna pycha magnacko-szlachecka opanowała tych, którzy kie-

dyś mogli tylko zza płotu spoglądać na pański ogród i pałac, podziwiając piękne powozy, stroje, elegancję i dostatek, sami żyjąc w nędzy, głodzie i brudzie. Ci, którzy wykształcenie oraz zmianę warunków swojego życia zawdzięczają Polsce Ludowej nie chcą o tym pamiętać, a co gorsze wpajają błędne pojęcia i poglądy swoim dzieciom. Uderzyła im „woda sodowa” do głowy. Wydaje im się, że teraz oni mają prawo być „dziedzicami” i czują się pokrzywdzeni, jeśli tak nie jest. Pokolenie moich dzieci umie wymagać, ale z siebie nie zawsze potrafi dać tyle, ile powinno. Chcą mieć i to bez większego wysiłku, nowoczesne mieszkanie, czują się pokrzywdzeni i niezrozumiani jeżeli nie mają samochodu. Za dużo braliśmy przykładu z krajów zachodnich, które są przecież o wiele bogatsze od nas. Zapomnieliśmy, że wysoki poziom życia w tych krajach nie jest zjawiskiem powszechnym. Tam również są bezrobotni, wielu zamieszkuje dzielnice nędzy zwane „slamsami”, nie wszyscy mają powszechny dostęp do oświaty, ale o ciemnych stronach życia w tych krajach rzadko się mówi. My natomiast, jak dzieci zapatrzone w piękną zabawkę chcemy naśladować kapitalistów, nie licząc się z realiami. Nie dziwiłabym się, gdyby takie poglądy głosili potomkowie polskich kapitalistów i obszarników. W końcu mają do tego prawo, przecież ich rodzice zostali pozbawieni dochodów i majątków, ale gdy słyszę jak „pieją” pochwały dla zachodnich porządków i zachodniego trybu życia synowie lub czasem wnuki małorolnych chłopów lub drobnych rzemieślników i robotników, to może człowieka „szlak trafić”. Chciałoby się takiemu powiedzieć: Czym dzisiaj byłbyś, gdybyś żył, mieszkał i pracował w Polsce bez zmiany ustrojowej w 1945 roku? Czy byłbyś inżynierem, dyrektorem, profesorem czy też parobkiem we dworze, biedującym i głodującym chłopem? Niestety nie mogą lub nie chcą zrozumieć ci, wykształceni i uposażeni w Polsce Ludowej, którzy wszystko zawdzięczają ustrojowi socjalistycznemu. Wymądrzają się tylko, co widzę na przykładzie swoich dzieci. Kiedyś starszy syn Stanisław powiedział mi, że jeden z jego uczniów, z Liceum Ogólnokształcącego w Milanówku (gdzie syn pracuje

i uczy historii) zapytał go, czy chciałby żyć w ustroju kapitalistycznym. Odpowiedział, że tak, ale pod warunkiem, że byłby kapitalistą. To zrozumiałe, każdy chciałby być kapitalistą i żyć na kapitalistycznym poziomie, ale kto wówczas by pracował? Ja będąc w podeszłym już wieku, mniej może zawdzięczam socjalizmowi, gdyż dzięki usilnej pracy rodziców w okresie międzywojennym nie cierpiałam głodu, choć daleko mi było nie tylko do luksusów, ale i do normalnych warunków, w jakich wzrastały moje dzieci i moi uczniowie. Miałam możliwość zdobyć początki wykształcenia średniego w gimnazjum państwowym im. Króla Stanisława Leszczyńskiego w Ostrołęce i prawdopodobnie, gdyby nie wybuchła druga wojna światowa, skończyłabym liceum, mogłabym studiować i miałabym zapewnioną normalną, a nawet dostatnią egzystencję. Wojna sprawiła, że życie potoczyło się inaczej. Mimo to staram się być obiektywna, dostrzegać błędy, wypaczenia i potknięcia władzy ludowej, ale też jej osiągnięcia, których przecież nie można tak zupełnie przekreślić, jak wielu próbuje to robić. Co mi dała władza ludowa? W pierwszym rządzie umożliwiła mi ukończenie szkoły średniej i zdobycie zawodu nauczycielskiego, który zapewnił jakąś gwarancję na stabilizację.

Pod koniec wojny byłam młodą mężatką, która musiała z mężem oraz kilkumiesięcznym dzieckiem opuścić ostrołęcki dom i tułać się po wsiach w poszukiwaniu chleba. Mały Staś był silny i zdrowy dlatego ten ciężki czas przetrwał. Była wczesna jesień 1944 roku. Spaliśmy na słomie w brudzie i insektach. Brakowało warunków do ugotowania choćby najskromniejszego pożywienia, składającego się przeważnie z kartofli, kaszy jęczmiennej oraz zupy zarzucanej zacierkami. Czasem gospodarze poczęstowali ziemniaczanymi kluskami lub marchwią, ale to nie zdarzało się często. Z przygotowywaniem jedzenia trzeba było czekać aż właściciele domu skończą gotować swój posiłek. Talerze, łyżki, kubki do wody, gdyż o herbacie można było tylko pomarzyć, początkowo pożyczaliśmy, później udało się je jakoś skompletować. Na wygnaniu byliśmy około pół roku. Wyszliśmy około 6 września 1944 roku,

a wróciliśmy do zrujnowanego, ostrołęckiego domu pod koniec stycznia 1945 roku, w zimowy, mroźny i śnieżny dzień. Pamiętam to doskonale, nędza nasza osiągnęła wtedy dno. Sytuacja trochę się polepszyła, gdy mąż zaczął pracować jako piekarz. Razem z innym piekarzem — Aleksandrem Kraszewskim, wypiekali chleb i bułki. Trwało to jednak krótko, gdyż po kilku miesiącach, chyba w maju, spółka rozpadła się. „Mówią jaskółki, że nie dobre są spółki” — to przysłowie zna chyba każdy. Dostaliśmy trochę pie-niędzy, worek starego, niesprzedanego chleba oraz kawałek słoniny. Chleb jedliśmy mocząc go w wodzie i dając skórki dziecku, które choć jeszcze nie miało zębów, próbowało jeść. Mały Staś dobrze znosił te ciężkie warunki. Jadł to, co było, spał, bawił się i czekał na lepsze czasy. Nadeszła wreszcie wiosna i zrobiło się ciepło, ale my wciąż byliśmy obdarci, prawie bosi i głodni. Zdesperowana zgłosiłam się do Inspektoratu Szkolnego w Ostrołęce na kurs dla niewykwalifikowanych nauczycieli. To była jakaś szansa. W czasie trwania kursu otrzymywaliśmy śniadanie i obiad — ogromne dobrodziejstwo, którego nie zapomnę. Grube kromki chleba posmarowane smalcem lub marmoladą smakowały wybornie. Doskonała była też zupa, której mogłam zjeść ile chciałam. Na drugie danie dawali czasem kluski, kaszę z tłuszczem, nawet kartofle z kawałkami mięsa lub podrobów. Władze nasze wiedziały, że byliśmy głodni i zmęczeni wojną. Po skończeniu kursu otrzymałam pracę we wsi Suchcice, w powiecie ostrołęckim oraz stałe, chociaż minimalne wynagrodzenie. Nie przyszłoby mi do głowy narzekać na wysokość pensji, każda, nawet najniższa, zadowalała. To, że jestem dziś samodzielna, że mogłam wychować i wykształcić dzieci zawdzięczałam władzy ludowej. To, że na starość wypracowałam sobie emeryturę i niezależność, że mogę spokojnie patrzeć w przyszłość, też zawdzięczałam władzy ludowej. Ten okres 35-lecia Polski Ludowej obok błędów i wypaczeń posiadał też wiele osiągnięć w dziedzinie odbudowy kraju i dźwigania go z ruin, uprzemysławiania, zapewnienia ludziom pracy. Na moich oczach powstawała z ruin i zgłiszczy Warszawa. Ilekroć przyjeżdżałam

do stolicy, obserwowałam nowe domy, kościoły, ulice, mosty, parki, odbudowaną Starówkę, Trasę W-Z, dlatego nie mogę się zgodzić ze zdaniem mojej córki — Lucyny, która kiedyś, może żartem, powiedziała, że nasze pokolenie doprowadziło ten kraj do ruiny. Cóż za absurd! To wprost oburzające. Moje pokolenie walczyło o Polskę, a potem dźwigało kraj z ruin. My budowaliśmy podstawy przemysłu, oświaty, nauki, kultury. Być może nie umieliśmy tylko wychować młodego pokolenia. Nauczyliśmy ich tylko żądać i wymagać. Mówi się teraz, że propaganda sukcesu za Gierka wyrządziła wiele szkód, i to jest prawda, ale mówiąc o tym nie można zapominać i o osiągnięciach, które przecież były. Nie wiem, czy nie więcej szkody przynosi wieczna negacja i krytykowanie wszystkiego. Naraz, z dnia na dzień, środki masowego przekazu zostały napełnione krytyką; wszystko okazuje się błędem i Nowa Huta i Huta Katowice i Port Północny i samochody Berliet, a już szczególnie traktory „Fergusson”. Budownictwo mieszkaniowe jest zupełnie do niczego, parki narodowe giną, zabytki naszej kultury rozsypują się w proch. Cóż za kataklizm nas opanował i jak z tego wyjść? Chyba usiąść i płakać. Czyż tak może być? Gdyby tak było jak twierdzi Solidarność, to należałoby przekreślić dorobek całego naszego pokolenia. Wszystko rozsypało się nam w proch. Na cóż byłoby wtedy całe nasze zmarnowane życie. Choć jestem już niemłoda, ale nie mogę się z tym pogodzić. Uważam, że tak zupełnie nie zmarnowałam swojego życia i jakieś tam osiągnięcia miałam, choćby niewielkie. Prawda, że znaleźliśmy się w kryzysie, ale chyba nie głębszym niż w latach bezpośrednio powojennych. Zamiast się kłócić, trzeba zacisnąć pasa, wziąć się do pracy, gdyż z krytyki i narzekania nic jeszcze nikomu nie przyszło.

Na starość zostałam sama tylko z mężem. Niewiele ze sobą rozmawiamy, choć w naszym życiu panuje zgoda nawet o wiele lepsza niż w okresie młodości. Wszystko się jakoś ułożyło. Każde z nas wie, czego może oczekiwać od drugiego. Każdy ma swoje sprawy, zmartwienia czy kłopoty i jakoś sobie z nimi radzi. Łączy nas długie wspólne życie oraz usamodzielnione już dzieci. Kiedyś

łączyła jeszcze praca, ale dziś obydwójce jesteśmy na emeryturze i praca nauczycielska odpłynęła w przeszłość. Wspomnienia z niej zacierają się coraz bardziej i coraz mniej mnie już obchodzą. Niedawno spotkałam dwie młodsze koleżanki nauczycielki, z którymi kiedyś pracowałam. Z zaangażowaniem mówiły o nowo uchwalonej przez Sejm Karcie Nauczyciela. To już druga z rzędu, bo za moich czasów też uchwalono Kartę Nauczyciela. Kiedyś „piano z zachwyty” nad osiągnięciami nauczycieli zawartymi w tej karcie, a teraz okazuje się, że dawna nie spełniła swojego zadania, a dopiero nowa karta, to ważne osiągnięcie. Niedługo dowiemy się, że i dawni nauczyciele także nie stanęli na wysokości zadania. Kto wie, wszystko jest możliwe, choć nieprzyjemne to sprawy dla mojego pokolenia. Obserwując młodych, to wcale nie jest wykluczone. Może jestem już taka stara „konserwa”, ale wolalabym żyć w spokojniejszych czasach. Kto przeżył wojnę na pewno mnie rozumie. Wszystkie nasze dzieci usamodzielniały się i zamieszkały z dala od nas. Czy to dobrze czy źle, trudno ocenić. Początkowo, po wyprowadzeniu się każdego z dzieci odczuwałam pewną pustkę, ale z biegiem lat oswoiłam się z tym, a nawet przyzwyczaiłam. Lubię bardzo je odwiedzać. Robię to szczególnie w miesiącach letnich lub jesiennych, gdyż zimą podróż jest dla mnie zbyt uciążliwa, a starych rodziców także nie mogę zostawić samych. Oni bardzo nie lubią kiedy wyjeżdżam. Szczególnie lubię odwiedzać córkę Lucynę w Kielcach. Ona pracuje w Wyższej Szkole Pedagogicznej i ma ładne mieszkanie, w którym można się czuć swobodnie. Odwiedzając dzieci bacznie uważam i staram się, aby im się nie naprzykrzyć i nie robić subiekcji swoją osobą, a już szczególnie nie przeciągać swojej wizyty. Lubiłam też jeździć do Międzyborowa, gdzie mieszkała moja córka Ania ze swoim mężem Mikołajem, ale teraz te wizyty się skończyły, bo przeprowadzili się do miejscowości Michałowice, gdzie mieszkają jakby wspólnie z gospodynią domu, więc nie ma już warunków do odwiedzin. Choć spotkania z dziećmi są przyjemne, zawsze chętnie wracam do własnego domu, gdzie czuję

się najlepiej. Posiadam obszerne mieszkanie, około 65 m² powierzchni. Nie mam nowoczesnych wygód, ale czuje się w nim dobrze. Szczególnie w lecie, bo wówczas pomieszczenia są chłodne i przyjemne. Mam 3 pokoje i kuchnię. W jednym jest sypialnia, a drugi jest umeblowany i urządzony tak, że można przyjmować przyjeżdżające w odwiedziny dzieci lub innych znajomych. Ostatni pokój jest jeszcze nie urządzony i służy mi przeważnie na skład zapasów zimowych lub potrzebnych przedmiotów. Marzyło mi się, aby jakoś umeblować i urządzić ten pokój, ale teraz to jest niemożliwe, a w ogóle nie wiadomo kiedy będzie to możliwe. Być może nie będzie się to już opłacało na starość. Mieszkaniem tym cieszę się dopiero od 1973 roku. Co prawda rodzice odpisali mi je rejentalnie chyba w 1959 roku, a już od 1955 roku w jego części mieszkalam, ale nie mogłam z niego w pełni korzystać, gdyż było zajęte przez lokatorów, z którymi przez prawie dwadzieścia lat dzieliliśmy wspólny przedpokój. To była makabra. Kiedy po długich i ciężkich staraniach lokatorzy dostali nowe mieszkanie w blokach moja radość nie знаła granic. Chodząc po brudnym i obdrapanym mieszkaniu, wyglądałam kolejno przez każde okno. Remont trwał prawie przez całe wakacje. Trzeba było przestawić piec, wybielić ściany, wymalować podłogi i okna, ale wtedy nie liczyło się pracy. W końcu poczułam się swobodnie. Czasem myślałam, że jak na ironię, mogłam cieszyć się swoim mieszkaniem dopiero wtedy, gdy młodość minęła, a dzieci kolejno opuszczały dom. Gdy najbardziej mi było potrzebne, musiałam „gnieździć się” z liczną rodziną w pokoju i niewielkiej kuchni. Słucham dziś często o losie młodych rodzin, które nie mają mieszkań. Współczuję im oczywiście, ale czasem myślę, że oni są strasznie niecierpliwi i wymagający. Chcieliby wszystko naraz osiągnąć — mieszkanie, meble, pralkę automatyczną, telewizor, nawet samochód. Żądają kredytów i pomocy od państwa. Kto troszczył się o moje pokolenie, kiedy zaczynało samodzielne życie? Państwo wtedy miało inne, poważniejsze kłopoty niż martwienie się, czy młoda rodzina ma mieszkanie lub

meble. Kto znał wtedy wolne soboty, urlopy na wychowanie dzieci? Uważam, że to może i dobrze, że mieszkam sama. Gdybym posiadała jakieś mieszkanie oddzielnie, to na pewno dałabym któremuś z dzieci, ale we wspólnym mieszkaniu to nie chciałabym mieszkać. Ogromne zamieszanie i bałagan, a ja już tak się przyzwyczaiałam do ciszy i spokoju. Mówiąc bezstronnie, mam ciężki charakter i życie na co dzień nawet z moimi dziećmi nie byłoby chyba najlepszym wyjściem. Najlepsza zgoda i przyjaźń jest wtedy, gdy żyje się osobno, a widuje od czasu do czasu. Co zrobię, gdy będę starsza lub, co gorsza, niedołężna? Nie wiem, na razie nie chcę się nad tym zastanawiać. Wielu ludzi umiera nagle lub nie choruje długo, po co się martwić za wcześniej. Sądzę, że raczej jakoś się to ułoży. Chcę wcześniej napisać swój testament póki jestem jeszcze sprawna umysłowo. Nie chcę skrzywdzić żadnego z moich dzieci i zostawię im wszystko co posiadam do równego podziału. Nie będzie tego dużo, ale muszą się jakoś podzielić, daj Boże zgodnie i bez kłótni.

Zdenerwowałam się listem, który otrzymałam od córki Lucyny. Jak wiadomo, teraz w okresie stanu wojennego listy są ocenzone. Nie wiem co ona tam nawypisywała, pisze tylko, że nie zgadza się z moimi poglądami, a dalej to już wszystko wycięte. Jak można być tak nieostrożną, pracując w państwowej instytucji, a przecież skończyła 30 lat. Czas byłoby mieć bardziej ustabilizowane zdanie, a nie postępować tak lekkomyślnie. Ci młodzi nie zdają sobie sprawy, że pracę łatwo stracić, ale trudno odzyskać. Sytuacja w pierwszych latach po wojnie była trudniejsza. Z jednej strony trzeba było spełniać wymagania władzy ludowej, realizować wytyczony program nauczania i stosować się do wszelkiego rodzaju odgórnych zarządzeń, z drugiej strony we wsi działało podziemie i różnego rodzaju bandy. Nauczyciel obserwowany był na każdym kroku, dlatego jego postępowanie nie mogło budzić zastrzeżeń. Należało szczególnie uważać na to, co się mówi, gdyż na wsi plotki rozchodziły się szybko. W tych warunkach jakoś musiałam się znaleźć. Chodziło o to, by reali-

zując polecenia władz nie podpaść wiejskiemu „podziemi”. Zdarzyły się różne sytuacje, np. w sąsiedniej zagrodzie UB znalazło (w stodole) magazyn broni, a młody gospodarz uciekł wsiadając na przejeżdżający drogą wóz. Prowadziłam wtedy lekcje, jak to się mówi, „z duszą na ramieniu”. Staralam się zająć dzieci, żeby nie wyglądały przez okno, ale one i tak wyglądały. W czasie ucieczki gospodarza posypały się strzały, ale żaden nie był celny. Żołnierze załadowali broń na furmankę i odjechali nie wchodząc do szkoły. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Pamiętam również dobrze sytuację, gdy - było to dwa lata później — na odbywającym się w sąsiedztwie weselu, doszło do strzelaniny między leśnymi bandami a żołnierzami UB. Jeden z leśnych został zabity. W maju 1946 roku, chyba to było pod Gucinem, został również zabity zegarmistrz. Zjechało wtedy do wsi dużo wojska. Wypytywali mnie, czy nie widziałam osób przechodzących drogą i czy słyszałam w godzinach rannych strzały. Odpowiedziałam, że żadnych osób podejrzanych nie widziałam, a strzały słyszałam w godzinach popołudniowych. Ich to najwyraźniej nie zadowoliło, bo po południu sami strzelali i usilnie domagali się, żebym mówiła prawdę. Ostatecznie niczego się nie dowiedzieli i dali mi spokój. To wszystko nie było proste, kiedy mnie przepytawali za ścianą gospodarze nadstawiali ucha nasłuchując, co mówię. Cicho było „jak makiem zasiał”, a zazwyczaj dobrze słyszałam każdą rozmowę. Dowiedziałam się, że potem chłopcy wypytывali starszą panią Szczęsną, która opiekowała się moim synkiem, co też nauczycielka opowiadała tym wojskowym. W ogóle człowiek wtedy nie wiedział z kim rozmawia. Z bandami stykało się na co dzień, na przykład idąc po zakupy do wiejskiego sklepu. Nierzadko można było spotkać kilkunastu podpitych chłopów, którzy nie przebierali w słowach siłąc się na głupie dowcipy. To była banda, rządził ten, kto się czuł silniejszy. Pewnego razu przyszło do mieszkania kilku podejrzanych ubranych mężczyzn. Pytali jak mi się żyje i pracuje w szkole. Popatrzyli na dwoje śpiących na łóżku dzieci, dowcipkowali, pytając czyje to dzieci — młodej, czyli mnie, czy starej,

czyli pani Szczęsnej, potem napili się z wiadra wody i wyszli. Wtedy często zdarzały się na wsiach zabójstwa na tle porachunków osobistych, pobicia nauczycieli, szczególnie należących do partii, golenie głów kobietom pod pozorem, że się źle prowadzą. Spotkało to jedną z moich koleżanek, w gruncie rzeczy „Bogu ducha winną”. Było bardzo niebezpiecznie — w takich warunkach żyłam i jakoś przetrwałam. Co do moich ówczesnych poglądów, to muszę zaznaczyć, że uczyłam się w szkole kapitalistycznej, więc zrozumiałe (wiedząc jakie było nastawienie rządów sanacyjnych w Polsce do socjalizmu, a wtedy mówiło się komunizmu i ZSRR), że nie pałam wielką sympatią do nowego, demokratycznego ustroju. Przeważał jeszcze kult „dziadka” Piłsudskiego, jego maciejówki i kasztanki. Śpiewaliśmy: „Jedzie, jedzie na kasztance siwy strzelca strój, hej, hej, hej komendancie, miły wodzu mój”. Straszono, że zostaną zamknięte kościoły lub zamienione na magazyny, że w kolchozach będzie wspólny kocioł, nawet wspólne żony. Wszyscy drobni posiadacze gospodarstw i nieruchomości utracą swoje posiadłości, a bogatsi właściciele zostaną aresztowani, uwięzieni, nawet rozstrzelani. Takie, i tym podobne informacje rozpowszechniane były w Polsce sanacyjnej. Potem przekonaliśmy się, że nie jest prawdą to, co głosiła sanacyjna propaganda i choć z wieloma sprawami z początku nie mogłam się pogodzić, ostatecznie pogodziłam się, gdyż nie było innego wyjścia. Mówiąc bezstronnie, byłam zawsze lojalna względem swoich przełożonych i względem swojej ojczyzny — Polski Ludowej. W niczym nigdy nie szkodziłam sprawom socjalizmu, ani też nie starałam się wpłynąć na uczniów w duchu przeciwnym — to mogę stwierdzić z całą stanowczością. Nie zapisałam się do partii, choć w początkowym okresie mojej pracy kładziono na to duży nacisk. Będąc osobą głęboko wierzącą chciałam zachować niezależność, marksizm ze swoim ateizmem mi nie odpowiadał. Nie miałam ambicji windowania się na wyższe, kierownicze stanowiska, zresztą brak mi było wtedy wykształcenia i nie miałam ku temu warunków. Ale nikt z władz, czy też kole-

gów, nie mógł mi zarzucić żadnej nielojalności. Uważam i dziś, że postępowałam właściwie.

Upłynęło kilka lat od czasu kiedy ukończyłam pisanie tych wspomnień. Stan wojenny już dawno się skończył, mamy teraz 1990 rok. Nastąpiły niesłychane i nieoczekiwane zmiany. Przede wszystkim zmienił się ustrój polityczny. Wbrew temu co nam kiedyś wykładano na szkoleniu ideologicznym z marksizmu, że socjalizm przejdzie w komunizm, a wtedy nastąpi powszechna sprawiedliwość, stało się odwrotnie — socjalizm przeszedł w kapitalizm. Mówiono o postępie a wrócono do tego, co było. To wszystko o czym nas przekonywano okazało się fałszywe. Teraz o ustroju socjalistycznym nikt nie chce słyszeć i wszyscy go potępiają, nastąpił zupełny odwrót i gwałtowne dążenie do kapitalizmu. Nowy ustrój jest silnie zalecany, gdyż on istnieje w krajach zachodnich, a tam podobno jest dobrobyt, za którym Polacy tęsknią. U nas rządzi teraz Solidarność. Mamy solidarnościowy rząd, którego premierem jest Tadeusz Mazowiecki. Ciągłe i na każdym kroku mówią o prywatyzacji. Oddaje się w prywatne ręce domy, przedsiębiorstwa, sklepy, fabryki, zakłady przemysłowe — słowem „świat stanął na głowie”. W każdym razie ja mam takie odczucie. Trudno mi jest przestawić się na ten kapitalistyczny sposób myślenia. Czuję się oszołomiona i zagubiona w tej nowej rzeczywistości. Ja nie byłam specjalnie zwolenniczką socjalizmu, byłam tylko lojalnym pracownikiem. Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie wszystkie posunięcia PZPR były słuszne. Popęlniano niesprawiedliwości i wyrządzano krzywdy, ale nie wiem, czy to była wyłączna wina rządzącej partii i czy teraz „Solidarność” ustrzeże się tych samych błędów i będzie kryształowo uczciwa. Bardzo w to wątpię. Nowi ludzie, jak to się mówi, nowe „sitko na kołek”. Teraz, gdy przejęli władzę, postępują podobnie jak dawna, rządząca partia. Kiedyś, choć nie wszystko było właściwe, to człowiek przynajmniej wiedział czego się trzymać, a teraz nie wiadomo, o co chodzi. Zalewa nas potok informacji, a właściwie — dezinformacji. Każdy z polityków umie obronić swoje

racje i z tego robi się ludziom w głowie okropny bałagan. Nie wiadomo, w sensie politycznym, co jest dobre, a co złe. Mnie powinno to mało obchodzić, gdyż niewiele mi na tym świecie pozostało, ale jednak dobrze mieć jakąś orientację i wiedzieć, co się dzieje. Chorowałam ciężko i przeżyłam poważną operację tarczycy. Mam chore serce i cały czas muszę zażywać lekarstwa. Dzięki dawnemu ustrojowi mogłam leczyć się w szpitalu, miałam darmową opiekę lekarską i leki. Teraz nie wiem jak to będzie, dlatego z niepokojem słucham, że mają sprywatyzować służbę zdrowia i wprowadzić opłaty za pobyt w szpitalu. Ma to zapewnić lepsze warunki leczenia i usprawnić obsługę pielęgniarską. Tylko kogo będzie na to stać? Czy ubożsi ludzie nie będą wtedy pokrzywdzeni? Młodzi nie muszą o tym myśleć, póki dopisuje im zdrowie, ale starzy, kalecy i niepełnosprawni znajdują się w nędzy, „na dnie” i niewiele im pomogą darmowe zupki pana Kuronia. Ja nie potępiam instytucji charytatywnych. One są potrzebne i czynią wiele dobrego, a ludzie pracujący bezinteresownie dla innych są godni najwyższego szacunku, np. siostry zakonne poświęcające swoje życie dla nieuleczalnie chorych, czy niektórzy zamożni, fundujący bezpłatne obiady lub w inny sposób wspierający ubogich. Godną naśladowania inicjatywą jest zapewnienie bezpłatnego dożywiania oraz kolonii dla biednych dzieci. To jest bardzo piękna i pożyteczna działalność, ale to nie może zastępować państwa w zapewnieniu opieki potrzebującym. Zresztą, proszę sobie uświadomić, jak czuje się człowiek, który przepracował swoje życie, a na starość jest zmuszony korzystać z charytatywnej dobroczynności. Bardzo dziękuję Bogu, że nie jestem do tego zmuszona. Skromna emerytura wystarcza nam na skromne utrzymanie, a potrzeby starych ludzi są niewielkie. Bardzo mnie dziwi to ciągłe nawracanie do okresu międzywojennego — idealizowanie wszystkiego co przedwojenne. Wzmógł się przesadnie kult jednostki, zwłaszcza postaci marszałka Piłsudskiego. Jak postać dyktatora można łączyć z prawdziwą demokracją — ja tego nie rozumiem. Sama byłam wychowana w kulcie „dziadka” Piłsud-

skiego. Pamiętam jako dziecko jego pogrzeb oraz uroczystości kościelne i państwowe, które mu towarzyszyły, ale pamiętam także, że kościół w okresie międzywojennym wcale tak bardzo Piłsudskiego nie gloryfikował. Kiedy po jego śmierci, zgodnie z własną wolą, został pochowany w podziemiach Wawelu, w krypcie św. Leonarda (tam spoczywa między innymi król Jan Sobieski i jego żona Marysieńka), władze kościelne przeciwstawiły się przeniesieniu jego trumny do kaplicy „srebrnych dzwonów”, gdzie ostatecznie przebywa do dzisiaj. Marszałek dał Polsce wiele, potrafił trzymać twardą ręką sejm i rząd, ale przed wojną Kościół, aż tak bardzo go nie pópierał.

Na ulicach naszych miast zmieniło się i to bardzo. Handel panuje niepodzielnie, pełno małych i większych straganów. Niektórzy rozkładają swój towar na gazecie i handlują siedząc na jakimś stolku, czy ławeczce. Przyjeżdża wiele samochodów i handel odbywa się bezpośrednio z samochodu — to wprost „Pekin”, jakaś „wolna amerykanka”, przed wojną czegoś takiego nie było. Kiedyś handel odbywał się tylko w dni targowe, teraz codziennie. W Ostrołęce to jeszcze „pół biedy”, bo miejsce na handel jest wyznaczone na placu, przy ulicy Prądyńskiego, ale w Warszawie, co niedawno widziałam, handluje się w ten sposób nawet na Marszałkowskiej, czy w Alejach Jerozolimskich. Solidarność rozczarowała wielu ludzi — spodziewali się polepszenia swoich warunków materialnych, a spotkała ich drożyzna, bezrobocie, upadek zakładów pracy. Trwa nagonka na byłych, bardziej znaczących działaczy „partyjnych”, a na stanowiska wybiera się „swoich ludzi”. Hasło: „Mierny, bierny, ale wierny” okazuje się ponadczasowe. Problem także w tym, kto jest tym „swoim człowiekiem”, bo to wcale nie takie oczywiste. Solidarność jest podzielona i skłócona. Między Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim istnieje konflikt, chociaż publicznie się do tego nie przyznają. Nawet przyjaciele Wałęsy są teraz w niełasce np. Adam Michnik lub Henryk Wujec. Prym wiodą „Komitety Obywatelskie”, one wygrały wybory do władz samorządowych. Wałęsa uznał, że tym

komitetom powinien być odebrany znak Solidarności, ale on nie zawsze wie, co mówi. W sejmie jest dużo nieporozumień i kontrowersji. Rolnicy też nie mogą się ze sobą pogodzić. Istnieje dzisiaj chyba trzy Polskie Stronnictwa Ludowe, które się nawzajem zwalczają. Takiego bałaganu to już dawno nie było. Podobno wiosną 1991 roku mają się odbyć nowe wybory do sejmu. Na prezydenta będzie kandydował Lech Wałęsa, co ja uważam za niewłaściwe, a nawet śmieszne. Może on ma jakieś zasługi dla Polski, ale na prezydenta się nie nadaje. Jest zarozumiały i pozuje na wszechwładnego niczym „grecki bóg”. Gdy go słyszę, zamykam telewizor, gdyż mówi jakimś dziwnym, nienaturalnym głosem. Zobaczmy co z tego wyniknie.

Żyje się jakoś za rządów Solidarności, ale życie nie jest łatwe. Zdrowie nie zawsze dopisuje. Nie ma już mojego ojca, który od 1985 roku spoczywa na ostrołęckim cmentarzu. W tym roku, na święta wielkanocne obchodziliśmy pięćdziesięciolecie naszego małżeństwa. To już pół wieku, aż się nie chce wierzyć, że tak szybko minęło. Byli wszyscy, cała rodzina w komplecie. Piękne momenty, lubię gdy jesteśmy razem. Najpierw wielkanocne śniadanie, a potem spacer nad Narew i dużo zdjęć, które będą nam te wyjątkowe chwile przypominać.

Kiedy czytam to, co napisałam przed kilkoma laty to widzę ogromną różnicę. Już teraz nie mogłabym powiedzieć, że w pracach domowych jeszcze długo nie będę potrzebowała pomocy. Co prawda radzę sobie, ale czasem myślę, że może być różnie. Wykruszają się moi rówieśnicy, koleżanki i koledzy z pracy. Coraz więcej znajomych mam na cmentarzu. Czasem myślę o tych, którzy zmarli nagle, że im Bóg oszczędził cierpienia i lęku. Może oni są najszczęśliwsi. Nieraz mnie nawiedzają takie niewesołe myśli, ale trzeba się zgodzić z wolą Boską i podziękować za to, co jest. Szczególnie za to, że prawie cudem lekarze przywrócili mi zdrowie oraz za to, że mam dobrego męża i dobre dzieci, które dbają o mnie. Brakuje mi np. chodzenia na grzyby, które dawniej bardzo lubiłam. Mogę natomiast czytać książki i oglądać telewizję, co sta-

nowi pewne urozmaicenie. Zadowolona też jestem, że byłam w Częstochowie i ofiarowałam Matce Boskiej swoją złotą obrączkę. To bardzo mnie uspokoiło, że mogłam pożegnać się z Matką Boską. Jasna Góra działa na mnie ożywczo i przywraca równowagę wewnętrzną. Chciałabym tam jeszcze kiedyś wrócić, ale jeżeli to będzie niemożliwe i tak będę zadowolona.

Lubię śledzić wydarzenia polityczne, zarówno dotyczące Polski, jak i świata. To mi daje jakąś orientację. Żyjemy w czasach niepewnych. W zatoce Perskiej nastąpił konflikt i z tego powodu poniosła straty także Polska, gdyż nie otrzymaliśmy ropy naftowej, którą Irak był nam winien. Największym niebezpieczeństwem jednak dla nas jest zjednoczenie dwóch państw niemieckich. Ja przeżyłam wojnę i wiem, co mówię. Cóż z tego, że teraz Niemcy „niby to” uznają granicę Polski, ale jak długo tak będzie, tego nie da się przewidzieć. Niech tylko wzrosną w siłę, to pokażą nam co potrafią. Niemcy są nieprzewidywalni, my starsi wiemy jak to wygląda, ale młodzi nie chcą w to wierzyć. Oby nie przekonał się na własnej skórze. Chciałabym tego nie doczekać.

Wybory na prezydenta zbliżają się, mają być 25 listopada. Teraz odbywa się kampania wyborcza Lecha Wałęsy i Tadeusza Mazowieckiego. Walka „o stołki” trwa na całego, a w Polsce wcale nie żyje się lepiej. Produkty żywnościowe drożeją, choć nie tak gwałtownie jak w 1990 roku. Zdrożał znacząco prąd i gaz, a także czynsze mieszkaniowe. Brak stabilizacji, w tej kwestii nic się nie zmieniło. Ile czasu można się transformować? Jak to się wszystko skończy trudno powiedzieć, w każdym razie dla nas starych emerytów nie ma nic pocieszającego. Niektórzy ludzie dorabiają się wielkich majątków. Zgłaszają się dawni dziedzice, fabrykanci, właściciele kamienic. Rząd obiecuje im zwrot własności. W razie niemożliwości zwrotu mają dostać obligacje, które będą mogli sprzedawać na giełdzie. Cóż z tego, że początkowo aż „pieli” z radości, że został obalony komunizm. Z tego powodu, jak widać, wcale nie jest w Polsce lepiej. Tak naprawdę przybyło tylko niepewności i ambicji politycznych, bo każdy chce teraz rządzić.

Mamy rząd Mazowieckiego, który jest powszechnie krytykowany, gdyż promowany przez niego „plan Balcerowicza” zapewnił wprawdzie wymienialność złotówki, a kurs dolara ustalił na poziomie 9500 zł, ale cóż z tego, kiedy nastąpiła przeszło 30% recesja gospodarcza. Jest coraz więcej bezrobotnych, rzemieślnicy zamykają swoje warsztaty z powodu bardzo wysokich podatków, rolnicy są niezadowoleni, stosują blokady dróg, mają trudności ze sprzedażą produktów, zwłaszcza ziemniaków. Zadowoleni są tylko kombinatorzy, którzy sprowadzają, często nielegalnie, różne zagraniczne towary. Wybuchają ciągle nowe afery, nawet „sznapsgeit”. Sprowadzono do Polski tysiące litrów alkoholu, chyba po to, aby bardziej demoralizować naród. Dziennikarze, którzy tak zachłystywali się wolnością słowa i zniesieniem cenzury, teraz dopiero przejrżeli na oczy, gdyż wielu z nich utraciło pracę. Nic dziwnego, gazety są drogie i ludzie coraz mniej ich kupują. Ja kupuję tylko jedną gazetę na tydzień, aby mieć program telewizyjny. Coraz mniej w Ostrołęce kiosków, natomiast sklepów powstaje coraz więcej. Ale co z tego, sprzedaje się w nich zagraniczne, przechodzone „ciuchy”, zabawki, kosmetyki — spożywczych jest niewiele. Nawet z owocami i warzywami coraz mniej, lecz tym towarem handluje się na ulicy. No cóż, każdy musi z czegoś żyć. Może spośród handlarzy ulicznych jeden na stu zdobędzie dużo pieniędzy i stanie się kapitalistą, ale reszta ma niewielkie szanse na dostatnie życie. Kwitnie za to złodziejstwo i napady rabunkowe, a nawet zabójstwa. Nic dziwnego, posłowie i senatorowie tak bardzo litowali się nad biednymi, pokrzywdzonymi bandytami, niby to ofiarami stanu wojennego i komunizmu, że większość ich wypuścili na wolność, a oni kontynuują w najlepsze swój dawny proceder. Wiadomo, że rząd się wyżywi, kombinatorzy sobie poradzą, ale jak mają żyć przeciętni ludzie? Przy Mazowieckim skupia się tzw. elita: artyści, naukowcy, dziennikarze, którzy podskakują „na czterech łapkach”, aby tylko utrzymać swoją pozycję. Są w stanie z dnia na dzień zmienić poglądy i przystosować się do każdych warunków. Przykładem jest aktor — An-

drzej Łapicki, dobrze pamiętam, jak był wychwalany i nagradzany za rządów komunistycznych, obecnie stanął po stronie nowej władzy i ją wychwala. Elita skupiona wokół Mazowieckiego, teraz usilnie zabiega, aby właśnie on został prezydentem, bo, gdy sprawy przyjmą inny obrót, to ich pozycja będzie zagrożona. Zresztą Mazowiecki to safandula, nie ma dobrej wymowy i wygląda jakby był bardzo zmęczony życiem w ogóle, a swoim stanowiskiem w szczególności. Taki „kościanny” dziadek powinien być na emeryturze, a nie brać się do rządzenia. Wałęsa natomiast to nieodpowiedzialny człowiek, zupełnie „do luzu”. On mógł się nadawać na przywódcę strajku, ale nie na prezydenta. Jeśli ludzie go wybiorą, to marnie z nami. Podobno każdy naród ma takiego przywódcę, na jakiego zasługuje. Nisko, bardzo nisko upadliśmy. Reszta kandydatów nie ma szans. Ładnie mówi Włodzimierz Cimoszewicz, ma dobrą prezencję i wymowę, ale to przecież prawnik, zatem umiejętność wypowiadania się stanowi część jego zawodu. Najgorszy jest brak zgody wśród Polaków. Klócić to my się potrafimy, rozrzutni też być potrafimy. Oszczędza się na biednych ludziach, ale aż strach pomyśleć ile nas kosztuje obecna kampania wyborcza, a przecież to nie koniec, bo niedługo mają być nowe wybory do sejmu i senatu. Nic dziwnego, że rozpoczęły się strajki np. górników, pracowników komunikacji miejskiej, a także rolników. Do czego to dojdzie. O tym kto będzie prezydentem dowiemy się już za parę dni. Według mnie to w ogóle nie ma na kogo głosować, co jeden to lepszy. Chyba wcale nie pójdę na wybory.

No cóż, wybory na prezydenta będą musiały być powtórzone 9 grudnia 1990 roku, to znaczy za kilka dni. Nie tak to wypadło jak przewidywano. Premier Mazowiecki przepadł, został Lecha Wałęsa, drugim kandydatem jest Stan Tymiński ten przybysz z Kanady, czy Peru. Nikt się takiego obrotu sprawy nie spodziewał. Wybór jest teraz tylko na mniejsze zło. Ja zachowuję neutralność i nie będę głosowała, choć wszyscy gwałtownie zachęcają, aby głosować na Lecha Wałęsę. Co z tego wyniknie będzie już wiadomo za kilka dni. Obydwa kandydaci opowiadają

się za kapitalizmem. Trzeba będzie nauczyć się żyć w kapitalizmie. Całe szczęście, że dla mnie to już bliżej jak dalej.

Oczywiście, jak było do przewidzenia, wygrał Lech Wałęsa i jeszcze przed Bożym Narodzeniem zostanie zaprzysiężony. Może to lepiej, Tymiński to byłaby zupełna porażka. Życie jest jednak bardzo skomplikowane i trudno je przewidzieć, a wydarzenia układają się wprost nieprawdopodobnie. Nikt by w najśmielszych prognozach nie przypuszczał, że Związek Radziecki ulegnie takiemu rozkładowi. Jak to mówią, nawet filozofom się to nie śniło. Ostatnie wydarzenia, uwięzienie Michaiła Gorbaczowa i spisek przeciwko niemu, wprowadził wielkie zamieszanie. Ciągłe nowe republiki ogłaszają swoją niepodległość. Pozycja Gorbaczowa jest bardzo osłabiona. Czy Borys Jelcyn zostanie nowym przywódcą — czas pokaże.

U nas w Polsce sytuacja w ogóle, nie tylko gospodarcza, bardzo się pogorszyła. Okazuje się, że mamy duży deficyt budżetowy. Ogranicza się nawet działalność szpitali. W ostrołęckim kościele ksiądz niedzielną tacę przeznaczył na potrzeby naszego szpitala. Przyjmują tam tylko osoby najciężej chore, z zagrożeniem życia. Ograniczona została ilość godzin w szkołach, o cztery godziny w każdej klasie. To z pewnością przyczyni się do zmniejszenia liczby nauczycieli i ograniczenia ich zarobków. Dokonano cięć budżetowych w policji i wojsku. Był nawet wniosek w sejmie, aby dokonać radykalnego rozbrojenia i ograniczyć liczbę wojska, gdyż nie mamy pieniędzy na nowoczesny sprzęt. Do czego to dochodzi. Przypomina mi się powiedzenie z czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej: „Polska nierządem stoi”.

Przeżywamy teraz czwartą pielgrzymkę papieża Jana Pawła II do Polski. Trwa ona od pierwszego do dziewiątego czerwca 1991 r., czyli kończy się dzisiaj. Cały czas oglądam w telewizji przebieg tej pielgrzymki. Papież odwiedził wiele miast i odbył szereg spotkań z przedstawicielami różnych środowisk. Dziś w godzinach popołudniowych odbędzie się uroczyste pożegnanie papieża na lotnisku Okęcie w Warszawie. Jeszcze raz papież

odwiedzi Polskę w sierpniu i weźmie udział w uroczystościach na Jasnej Górze. Oby pobyt Jana Pawła II w Polsce okazał się owocny i przyczynił się do narodowej zgody. Papież, jak zawsze, mówił pięknie i wzruszająco. Swoje homilie poświęcił kolejno każdemu z dziesięciorga przykazań bożych. To bardzo potrzebne i ważne, gdyż tak często zapominamy o tych przykazaniach w codziennym życiu. Myślę, że teraz rola Kościoła wzrośnie jeszcze bardziej. Jestem wierząca i praktykująca, ale nie pochwalam tak dużej ingerencji kościoła w sprawy polityczne, jak to miało miejsce przed wyborami. Byłam w kościele klasztorным i na własne uszy słyszałam jak ksiądz przekonywał ludzi, by głosowali tylko na ugrupowania katolickie, natomiast ministranci przed kościołem rozdawali ulotki instruujące jak należy głosować. To mi się nie podobało i tak nie powinno być.

W tym zeszycie nie zapisuję wszystkich ważnych wydarzeń, a tylko niektóre bardziej znaczące. Dużo miejsca poświęcam polityce, lecz zawsze mnie ona interesowała, chociaż, jak mówią, to sfera „brudnych rąk” i z ewangeliczną moralnością niewiele ma wspólnego. Faktów jest tak wiele, że trudno byłoby je zapamiętać. Nie jest to jednak moim celem. Najwyraźniej mam w sobie potrzebę ich zanotowania i nie zastanawiam się jak je selekcjonuję. Po prostu, jeżeli się pojawiają to je zapisuję.

Doszłam do przekonania, że powinnam już zakończyć prowadzenie tych wspomnień. Co miałam napisać, to już napisałam. Wiem z orzeczenia lekarzy, że życie moje nie będzie długie i na pewno nie osiągnę wieku do jakiego dożyli moi rodzice. Początkowo trudno było mi się z tym pogodzić, że to życie upłynęło tak szybko, a teraz zbliża się do końca. Świat będzie istniał nadal i wiele ciekawych wydarzeń będzie się działo, tylko mnie nie będzie. Tyle znajomych ludzi odeszło i coraz więcej tych, których znałam znajduje się na cmentarzu, dlatego staram się oswajać z myślą o śmierci, choć nie jest to wcale łatwe. Nie sama śmierć wydaje mi się straszna, ale możliwość cierpień i niedołęstwa, a także kłopoty, których mogę przysporzyć swoim dzieciom. Mój mąż czu-

je się lepiej ode mnie i jest duże prawdopodobieństwo, że mnie przeżyje, choć jest starszy ode mnie. Martwi mnie też, jak on sobie da radę wtedy, kiedy mnie nie będzie. Wszystko w ręku Boga. Kiedyś marzyłam o tym, aby doczekać roku dwutysięcznego, ale teraz myślę, że ten rok to tylko zwykła kartka w kalendarzu i na pewno dzień ten będzie taki, jak co dzień. Modłę się o szczęśliwą śmierć, ale grzechem byłoby modlić się o śmierć bez cierpień. Szczęśliwa śmierć to w moim pojęciu taka, która nie zaskoczy mnie w ciężkim grzechu. Zresztą w moim wieku to nic wielkiego nie popełnić ciężkiego grzechu i żadna zasługa, po prostu mniej okazji. Bardzo się cieszę, że byłam w Częstochowie, pożegnałam się z Matką Boską i oddałam moją obrączkę. Na koniec powiem jeszcze, że za mało dobrego zdziałałam w życiu, a teraz to już mam mniej możliwości. Na tym kończę chciałabym, aby te kartki z mniej lub bardziej przypadkowo zapisanymi informacjami, nie były spalone, lub wyrzucone i zostały przechowane przez któreś z moich dzieci, a potem wnuków, ale nie wiem, czy to będzie możliwe.

Powrót do Warszawy — Saska Kępa

Wiele spraw w moim życiu było wynikiem przypadku, lecz wyjazd z Kielc do Warszawy i zamieszkanie na Saskiej Kępie — nie. Wiedziałam, że do tej przeprowadzki wcześniej, czy później dojdzie. Dzisiaj, już z pewnej perspektywy, mogę powiedzieć, że to był jeden z najlepszych pomysłów, jakie przyszły mi do głowy w ostatnim czasie. Janek, kielczanin z krwi i kości, nie był entuzjastą tego przedsięwzięcia, ale nie oponował, a gdy potrzebowałam pomocy, jak zawsze mogłam na niego liczyć. Później polubił Warszawę i chętnie tu przyjeżdżał. Saska Kępa to — można powiedzieć — „kuror- ciki” — zielono, spokojnie, aż trudno uwierzyć, że do centrum jadę autobusem tylko dziesięć minut. Mam w Warszawie lub jej okolicach, rodzinę: braci, siostrę, także wielu znajomych z czasów studenckich. Przeprowadzka do Warszawy nie była równoznaczna z opuszczeniem Kielc. Nie sprzedaliśmy kieleckiego mieszkania, mam je do tej pory, chociażby dlatego, że ciągle pracuję na tutejszym Uniwersytecie. Poza tym lubię jechać na wakacje lub ferie do Kielc. Dobrze się tam czuję. Saska Kępa i mieszkanie na ulicy Ateńskiej to już nie są wspomnienia tylko dzień dzisiejszy, dlatego w tym miejscu zakończę. Można mi zarzucić, że wpół zdania, bez podsumowania. Bo ja nie chcę podsumowań, życie wcześniej, czy później mnie podsumuje. Biografia to pewnego rodzaju więzienie, gdzie jestem zamknięta czy tego chcę, czy nie, ale jest jeszcze jutro, które zapowiada dalszy ciąg. Kończąc pozwolę sobie na trochę patosu. Człowiek dopóki żyje jest „dziełem otwartym” wymagającym korekt i dopisywania dalszego ciągu. Zamyka je dopiero śmierć.



Lucyna Wiśniewska-Rutkowska



Lucyna Wiśniewska-Rutkowska –
profesor, nauczyciel akademicki Uni-
wersytetu Jana Kochanowskiego w Kiel-
cach



Stanisław Wiśniewski, nauczyciel
historii w Liceum Ogólnokształcą-
cym w Milanówku, dyrygent chóru
nauczycielskiego „Viva la musica”
w Grodzisku Mazowieckim



Stanisław Wiśniewski z żoną Anną



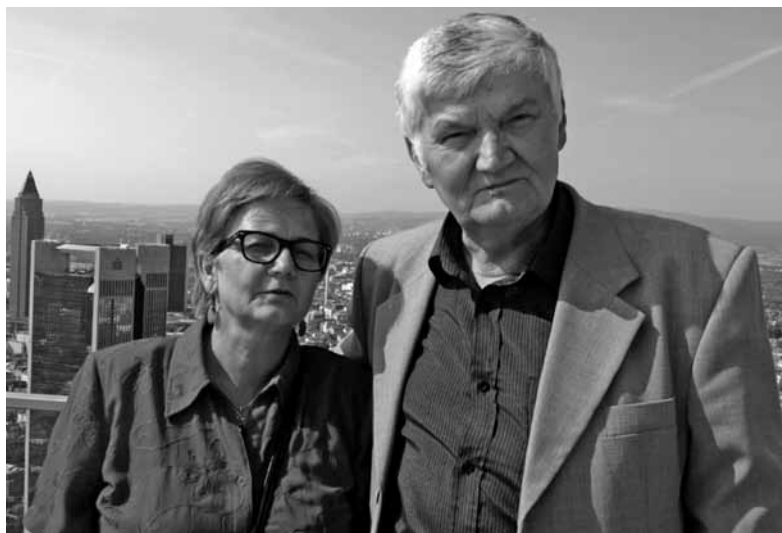
Stanisław Wiśniewski i Mikołaj Patejuk



Rodzice nad Narwią



Ania Wiśniewska — studentka



Ania i Mikołaj Patejuk



Moi bracia Andrzej i Stanisław Wiśniewscy



Andrzej Wiśniewski i Mikołaj Patejuk



Andrzej Wiśniewski z żoną Jolantą



Zdjęcie rodzinne



Ania Wiśniewska (Patejuk) — siostra



Joanna Wiśniewska, córka Stanisława



Dorota Wiśniewska, córka Andrzeja



Ania, wnuczka Stanisława Wiśniewskiego

Prof. dr hab. Lucyna Wiśniewska-Rutkowska — absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim oraz filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związana zawodowo z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach. W pracy badawczej koncentruje się na polskiej myśli filozoficzno-kulturologicznej i społecznej. Autorka prac: *Koncepcja człowieka w twórczości Karola Irzykowskiego* (2002), *Mesjanizm Jerzego Brauna. Myślenie w perspektywie Józefa M. Hoene-Wrońskiego* (2004), *Miedzy przeszłością a terażniejszością. Studia z pogranicza filozofii, polityki, sztuki* (2008), *Nie tylko o filozofii. Ludzie, idee, przemiany* (2010), *Dialog z tradycją — z dziejów polskiej myśli filozoficznej* (2014), *Myśli i czyny. Henryk Kamieński — filozof i polityk* (2017), *Zaczarowany rewolucją. Rzecz o Edwardzie Dembowskim* (2018), *Sprawy ważne i mniej ważne. Szkice i drobiazgi filozoficzne* (2019).